5
Rok XVI
(794)
CENA 1.50 ZŁ
4. 2. 73

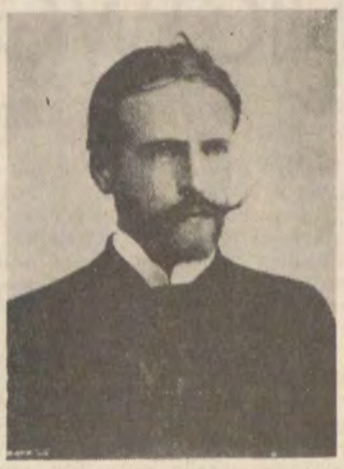

„WESELE“ BEZ PLOTEK

Wypowiedź Andrzeja Wajdy o jego pracy nad „Weselem” w dyskusji po łódzkiej premierze filmu

czytaj na stronach 6 i 7

ODGŁOSY
TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

ZAANGAŻOWANIE najistotniejsze

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Promienie słońca załamujące się w szkle kryształowej karafki dla siedzącego z lewej są złote, dla siedzącego z prawej — czerwone, dla jeszcze inaczej usadowionych — zielone, turkusowe, fiołetowe, pomarańczowe... Wszystko zależy od kąta widzenia. Z tej opowieści La Fontaine'a wziął tytuł do swej książki Melchior Wańkowicz. Jest to suma wiedzy i przemyśleń, doświadczeń i refleksji na temat pisarstwa. Książka zawierająca pokaźny ładunek wiedzy o przedmiocie, setki faktów, nazwisk i cytatów — nie ma w sobie nic z erudycyjnej sztywności dzieła naukowego. Jest — jak wszystkie książki Wańkowicza — lekka, barwna, błyskotliwa. Prezentujemy dziś naszym Czytelnikom fragment najnowszego dzieła Wańkowicza, fragment traktujący o zaangażowaniu. „Karafkę La Fontaine'a“ wydało Wydawnictwo Literackie w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy.

Exodus pisarzy z wieży z kości słoniowej wylał się wezbranym potokiem.

Gdzieś tam u początku stał stos Latimera, który, kiedy go przywiązywano łańcuchem do pala, powiedział: „Zapalimy dziś taką świecę, że już ona nigdy nie zgaśnie“.

Nie zgasła. Ale czy nie kopci?

Bo to tylko z wieży z kości słoniowej wygląda pięknie. Zaraz po wyjściu z niej zaczynają się nieuchronności.

Albert Camus („Opór, bunt, śmierć“ — 1961) pisze:

„Każdy artysta w naszych czasach jest załadowany na niewolniczą galerę. Znajdujemy się na pełnym oceanie. Musimy, tak, jak każdy inny, pochylić się nad wiosłami i jeśli tylko się uda, nie zemrzeć. Innymi słowy: żyć i tworzyć. Artysta znalazł się w naszych czasach na arenie, na której dotąd był tylko lew i męczennik. Ale sądzę, że należy się naszej epoce to, co jej się należy, skoro tego od nas tak zaciekle żąda“.

Gorące tchnienie tej epoki doszło mnie w rozmowach z Ilfem i Pietrowem, którzy wracali ze Stanów Zjednoczonych (posiłkuję się ich sformułowaniem, które potem znalazłem w druku):

„Przemierzaliśmy amerykańskie szosy, ale przed naszymi oczyma były szosy radzieckie. Nocowaliśmy w amerykańskich hotelach, myśląc o rosyjskich. Zwiedzając Forda, myśleliśmy o naszej fabryce aut, a rozmawiając z Indianami, myśleliśmy o Kazachstanie (...). Ludzie radzieccy za granicą są nie tylko turystami albo inżynierami, czy dyplomatami pełniącymi jakąś misję. To są wszystko kochankowie chwilowo oderwani od przedmiotu swego umiłowania, który pamiętają w każdej chwili dnia“.

Fala szła na świat. Jakimi refleksami w duszach pisarzy odbija się i załamuje blask zaangażowania ze stosu Latimera?

Bo oto katolik — **Andrzejewski.** Wydałem w „Roju“ jego katolicką powieść **„Ład serca“.** Na bankiecie ku czci debiutanta zgromadziłem różnorakie towarzystwo: Akademię in corpore i szeroki wachlarz ludzi od ojca Kolbe

Dalszy ciąg na str. 8

SMUTNE MORZE

MAREK WAWRZKIEWICZ

Od żółto-szarego morza wieje późnym listopadem, wonią gnijących odpadków i okrętowych smarów, brudne fale raz po raz wlewają się na białe płyty nadmorskiego bulwaru. Ostry, świszczący wiatr wpada w pióropusze palm, które już dawno pozbyły się koloru świeżej zieloności, szeleści w liściach. Co parenaście minut przelatuje nad miastem szybki, ulewny deszcz, a potem — równie nagle — wygląda zza chmur słońce. W jego blasku miasto rozjaśnia się, bieleje, z brzegu widać niedalekie wyspy, a winorośle pnące się po murach wąziutkich uliczek i wielkie agawy, rosnące przy drodze na górę Marjan, stwarzają jeszcze złudne wrażenie, że sezon nie całkiem umarł. Ale sezon się skończył, do nowego daleko. Białe ulice są prawie puste, wielobarwny, różnojęzyczny tłum odpłynął gdzieś od smutnego teraz morza. Puste są maleńkie kafejki i bistra, w całym mieście są dwa, może trzy ruszty, na których piecze się kasztany. Opustoszały, biały Split — jedna z pereł dalmatyńskiego wybrzeża. Przycupnięte przy nabrzeżach łodzie i żaglówki. Puste, smutne morze, po którym z rzadka tylko przesuwają się leniwe, zardzewiałe stateczki, które regularnie przemierzają białe promy — nie zatłoczone teraz i ciche.

Dalszy ciąg na str. 5

POKOLENIA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Młodości Adam Mickiewicz kazał wzlatywać ponad poziomy. Młodość zawsze kojarzyła się z siłą, ekspansją, prężnością, a nawet buntem przeciw zastanemu światu, domenie ludzi dorosłych, już w życiu urządzonych.

— Młodość ma swoje prawa — mawiano i mawia się do dziś.

— Młodość musi się wyszumieć! — zawołaniem tym rozgrzeszano błędy i wypaczenia młodych.

Ale młodość jest okresem, kiedy ludzie przygotowują się do owego dorosłego życia. Życia tak czasem przez młodych niechętnie widzianego i tak krytycznie ocenianego. Jak się do tego życia przygotują, jak ich się do tego przygotuje — od tego zależy przyszłość społeczeństwa.

„Nowa, wchodząca obecnie w życie generacja Polaków — czytamy w „Tezach Programowych Komitetu Centralnego PZPR, przyjętych przez VII Plenum — **staje w obliczu zadań (...) ambitnych i rozległych, (...) skomplikowanych, stwarzających pole do patriotycznych porywów, romantyzmu i bohaterstwa czasu pokoju. Jej powołaniem i treścią życia będzie doprowadzić do końca proces budowy socjalizmu w naszym kraju, zrewolucjonizować tempo rozwoju, pomnażać i odnawiać siły wytwórcze; w pełni wykorzystać dla dobra kraju wartości płynące z udziału Polski w rewolucji naukowo-technicznej, zapewnić pełny triumf zasad socjalizmu w życiu społecznym i w stosunkach międzyludzkich. Realizacja tych zadań zadecyduje o jej miejscu w dziejach narodu“.**

Jest to program rzeczywiście rozległy, ambitny i decydujący dla przyszłych losów narodu. Nic więc dziwnego, że często zadajemy sobie pytanie, jakie jest to pokolenie młodych Polaków, które wstępując w życie, ma do spełnienia tak poważne zadanie?

Dalszy ciąg na str. 4

Szansa młodych

ZE ŚWIATA

Cały świat odetchnął z ulgą. Niebezpieczne ognisko wojenne w Wietnamie zostało wygaszone. W niedzielę o 1 godz. w nocy czasu warszawskiego zakończono działania wojenne w całym Wietnamie. Naród wietnamski po latach nierównej walki odniósł wielkie zwycięstwo. Stany Zjednoczone musiały przerwać zbrojną interwencję. Nie osiągnęły nią zamierzonego celu militarnego i politycznego. Wojna natomiast, najdłuższa zresztą w historii USA, rozdarła społeczeństwo amerykańskie, wywołała tendencje odśrodkowe w Pakcie Atlantyckim, izolowała politykę Białego Domu. Te realia zmusiły Waszyngton do negocjacji, które jednak zrywano i przeciągano, zmierzając do zawarcia rozejmu „honorowego", najbardziej korzystnego dla amerykańskiej polityki. Dlatego droga do pokoju prowadziła aż przez 174 sesje rokowań paryskich i 24 poufne spotkania. Dyplomacja amerykańska nie osiągnęła jednak takich optymalnych dla siebie warunków, gdyż nie mogła ich osiągnąć. Pokój mógł powrócić do Wietnamu tylko przez uznanie celów walki narodu wietnamskiego. Tak się stało i dlatego mówimy o jego zwycięstwie.

Jaki jest pełny bilans kosztów wojny wietnamskiej — najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy. Amerykańska senacka komisja ocenia straty ludności cywilnej w Wietnamie Południowym na 1,3 mln osób, armii południowowietnamskiej na 188 tys. zabitych i 430 tys. rannych, armii amerykańskiej na pon. 56 tys. zabitych i 304 tys. rannych. Są to straty tylko jednej strony. Równocześnie Pentagon ujawnił, że w latach 1965—72 wydatkowano na wojnę pon. 102.100 mln dol. Oto wyrażony w suchych liczbach koszt amerykańskiej interwencji, która miała rozgromić Wietnam, a zakończyła się niepowodzeniem.

O takim finale wojny zdecydowała postawa narodu wietnamskiego, jego niezwykła siła oporu i wola zwycięstwa. W DRW, nękanej nalotami amerykańskich bombowców, które zrzuciły 7.600 tys. ton bomb na ziemię wietnamską, pozostawiając ok. 24 mln lejów, nadludzkim wysiłkiem udało się utrzymać produkcję przemysłową, sprawność komunikacyjną i zapewnić wzrost zbiorów ryżu. Jest zdumiewające, że mimo ogromnych strat w ludziach, w latach wojny ludność DRW, wzrosła o 6 mln osób.

Dla amerykańskich interwentów, dla wszystkich, którzy myślą, że siłą oręża można złamać naród, walczący, o swe prawa, wielka to nauczka, przestroga na przyszłość.

Podpisane w Paryżu porozumienie nosi tytuł: „o zaprzestaniu wojny i przywróceniu pokoju". Pierwsza jego część została zrealizowana, druga zaczyna wchodzić w życie. W ciągu 6 dni muszą opuścić terytorium Wietnamu Południowego wszystkie siły obce, w tym czasie zlikwidowane zostaną wszystkie bazy wojskowe USA i innych obcych krajów. Nastąpi zwolnienie wziętego do niewoli personelu wojskowego i cywilnych obywateli innych krajów. Przyszłość polityczna Wietnamu Płd rozstrzygnięta zostanie w wolnych wyborach, wcześniej utworzona zostanie Ogólnokrajowa Rada Pojednania i Zgody Narodowej, złożona z trzech równorzędnych komponentów. Strony południowowietnamskie podpiszą, o ile to będzie możliwe w ciągu 90 dni, porozumienie, dotyczące wewnętrznych spraw tego kraju. Powołana została Międzynarodowa Komisja Nadzoru i Kontroli, złożona z przedstawicieli: Indonezji, Kanady, Polski i Węgier. Działać ona będzie do czasu, kiedy powołany w powszechnych wyborach rząd, poprosi o zaniechanie pracy. W ciągu 30 dni od daty wejścia w życie porozumienia zwołana zostanie międzynarodowa konferencja w celu zatwierdzenia podpisanych porozumień, zagwarantowania zakończenia wojny, zachowania pokoju i poszanowania podstawowych narodowych praw południowych Wietnamczyków. DRW i USA zaproszą do udziału w tej konferencji: ChRL, Francję, ZSRR, W. Brytanię, cztery państwa, reprezentowane w Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli, uczestników konferencji paryskiej oraz sekretarza generalnego ONZ.

Porozumienie paryskie, w jednym z końcowych rozdziałów mówi również o Kambodży i Laosie i zawiera zobowiązanie stron uczestniczących w porozumieniu do przestrzegania postanowień genewskich z 1954 r. w sprawie Kambodży oraz postanowień z 1962 r. w sprawie Laosu, które uznały prawa tych narodów do niepodległości, suwerenności, jedności i integralności terytorialnej krajów.

W realizacji pokoju w Wietnamie Polska uczestniczyć będzie jak najaktywniej. Nawiązując do prośby krajów, uczestniczących w konflikcie wietnamskim, o udział naszego przedstawiciela w nowej Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli — premier Jaroszewicz mówił w Sejmie:

„Wyraziliśmy gotowość udziału w tej komisji, traktując to jako nasz obowiązek wobec sprawy pokojowego rozwoju stosunków międzynarodowych".

„Rząd i cały naród polski dawały wielokrotnie wyraz głębokiemu przekonaniu, że konflikt wietnamski może być uregulowany jedynie drogą rozwiązań politycznych, zapewniających prawo narodów do samostanowienia i trwały pokój na Półwyspie Indochińskim. Polska polityka zagraniczna konsekwentnie działała w kierunku przyjęcia takich właśnie rozwiązań. Jesteśmy przekonani, że przywrócenie pokoju w Wietnamie korzystnie wpłynie na dalszy rozwój sytuacji międzynarodowej i stworzy sprzyjające możliwości dla rozwiązania wielu istniejących jeszcze problemów".

W. SŁAWSKI

ROLNICTWO W 1973 ROKU

(PO SEJMOWEJ DEBACIE)

Niezwykle ważny problem podjął Sejm na swoim, dziewiątym w bieżącej kadencji posiedzeniu plenarnym. Sprawy rolnictwa i przemysłu spożywczego stanowią bowiem decydujące ogniwo w kompleksie poczynań mających na celu podniesienie poziomu życia ludności. Produkcja żywności, stanowiąca ok. 44 proc. wszystkich towarów na rynku wewnętrznym, decyduje o stabilizacji rynku i równowadze towarowo-pieniężnej. Dynamiczny w ostatnich dwóch latach rozwój gospodarczy spowodował znaczny wzrost płac i dochodów ludności, co przy obecnej strukturze spożycia spowodowało szybki wzrost zapotrzebowania na artykuły żywnościowe.

Nowa polityka rolna w latach 71—72 stworzyła rolnictwu dogodne warunki i wpłynęła na wzmożoną aktywność społeczno-produkcyjną ogółu pracowników rolnictwa. Niemniej jest to dopiero pierwszy krok. Debata poselska potwierdziła, że w rolnictwie nadal istnieją poważne rezerwy w sferze zarówno samej produkcji, jak i lepszej organizacji pracy w gospodarstwach, instytucjach usługowych, przemyśle pracującym na rzecz rolnictwa i przetwórstwie produktów rolnych.

W sprawozdaniu rządowym wicepremier J. Tejchma obszernie omówił dotychczasowe osiągnięcia i czekające nas zadania w najbliższym czasie. We wspomnianych latach globalna produkcja rolna wzrosła o prawie 12 procent, co jest dużym sukcesem, mimo iż potrzeby żywnościowe w tym samym okresie wzrosły jeszcze znaczniej. Dlatego też w obecnej pięciolatce zakłada się osiągnięcie aż 32-procentowego przyrostu produkcji zwierzęcej.

W nowych warunkach stworzonych przez państwo główną odpowiedzialność za postęp we wszystkich dziedzinach rolnictwa, powinny ponosić obecnie prezydia rad narodowych, naczelnicy gmin, służby fachowe, zakłady naukowo-doświadczalne i instytucje usługowe. Stworzono bowiem wszystkie warunki do rozwijania inicjatyw terenowych, a w parze z decentralizacją decyzji musi pójść decentralizacja odpowiedzialności.

Najważniejszym zadaniem jest wzrost produkcji zbóż i pasz, ale w ścisłym związku ze wzrostem produkcji zwierzęcej, któremu musi być elastycznie podporządkowany. Stąd potrzeba dalszych dostaw dla rolnictwa intensywnych odmian zbóż, właściwa rejonizacja, ochrona przed chorobami i szkodnikami, zwielokrotnienie plonów na tym samym obszarze gruntów. M. in. poprzez siew poplonów (w roku 72 obsiano poplonami „tylko" 2,2 mln ha, kiedy istnieje możliwość znacznego przekroczenia 3 mln ha).

W dobrej obecnie sytuacji, gdy pogłowie zwierząt jest znacznie wyższe niż kiedykolwiek, nie wolno ustawać w wysiłkach nad dalszą rozbudową bazy paszowej, tworzeniem rezerw oraz tworzeniem nowych stanowisk. Na rozwój inwestycji w hodowli pozytywny wpływ będą mieć decyzje rządowe w sprawie dostaw cementu, w tym w drodze dużego importu. Już obecnie podejmuje się, a w przyszłości będzie realizowany na coraz szerszą skalę program budowy dużych ferm produkcyjnych, w oparciu o PGR, spółdzielnie produkcyjne i kółka rolnicze, z jednoczesnym rozwinięciem wokół takich ferm intensywnej produkcji pasz. Stwarza to możliwość uczynienia Polski wielkim producentem żywca wołowego, co ma szczególne znaczenie przy rosnącym deficycie mięsa w Europie.

„POLITYKA ROLNA PZPR, PROWADZONA WSPÓLNIE Z ZSL I REALIZOWANA PRZEZ WŁADZE PAŃSTWOWE — stwierdził wicepremier Tejchma — **JEST POLITYKĄ MAKSYMALIZACJI PRODUKCJI W CAŁYM ROLNICTWIE, WE WSZYSTKICH JEGO SEKTORACH".** Oceniając poszczególne sektory gospodarcze należy stwierdzić, że PGR już osiągają dobre wskaźniki produkcyjne. W ostatnim okresie w PGR miał miejsce przyspieszony postęp produkcyjny, ekonomiczny, społeczno-kulturalny i kadrowy. Zwiększyła się samodzielność gospodarstw, przyjął efektywny system płac i bodźców ekonomicznych, utrwaliły się nowoczesne zasady kierowania i planowania, poprawiły znacznie warunki socjalne pracowników.

Również w sektorze gospodarki chłopskiej nastąpił ogólny wzrost gospodarczy, zaznaczyły się korzystne zmiany o charakterze społeczno - ekonomicznym. Działalność kółek rolniczych przy istnieniu Funduszu Rozwoju Rolnictwa spowodowała powstanie w ramach gospodarki chłopskiej zespołowych sił wytwórczych w postaci wspólnych maszyn i zaplecza technicznego, wartości ok. 34 mld zł. Umożliwiło to dostęp większości rolników do usług traktorowych, kombajnowych, chemizacyjnych, transportowych i wielu innych. I mimo, iż nadal te formy zespołowej działalności trzeba doskonalić, zdały one egzamin i stanowią materialny i społeczny czynnik dalszego rozwoju rolnictwa.

W przemówieniu premiera P. Jaroszewicza, jak i wystąpieniach poselskich wiele miejsca poświęcono sprawom inwestycji i właściwego wykorzystywania środków kierowanych na wieś, podkreślając ich priorytetowy charakter. Ogólne nakłady na całą gospodarkę żywnościową wynosiły w latach 71—72 ponad 100 mld zł. Obecnie w dziedzinie rolnictwa i przemysłu spożywczego inwestuje się ok. 30 proc. więcej niż w latach 66—70. Jest to sprawa w tym sensie szczególnie ważna, że inwestycje zadecydują o zasadniczej przebudowie rolnictwa, która nas czeka w przyszłości. Wg prognoz demograficznych w najbliższym dwudziestoleciu odejdzie z rolnictwa ok. 3 miliony ludzi. I tych ludzi muszą zastąpić dobre i niezawodne maszyny, a przemysł maszyn rolniczych mamy poważnie opóźniony w rozwoju. Rząd podjął już w tej sprawie szereg decyzji, m. in. odnośnie produkcji traktorów.

Podkreślając znaczenie „uprzemysłowienia" rolnictwa, jako czynnika postępu społecznego i agrotechnicznego, który zadecyduje o przyszłości rolnictwa, posłowie zwracali uwagę na obecne możliwości tkwiące w lepszym i efektywniejszym wykorzystaniu posiadanych już środków. Np. w gospodarce maszynami rolniczymi są olbrzymie rezerwy. Ciągniki KR i MBM często przez cały rok pracują w transporcie pozarolniczym, co przynosi bezpośrednie straty rolnictwu. Zła eksploatacja maszyn skraca ich żywotność, powoduje wzrost zużycia części zamiennych i podnosi koszty mechanizacji.

Nie mniejsze zadania niż przed rolnictwem stoją przed przemysłem spożywczym. Należy do nich szczególnie: przyspieszenie tempa inwestycji, wprowadzanie nowych technologii własnych i licencyjnych, nowe uruchomienia. Przemysł spożywczy w trosce o bazę surowcową musi wchodzić w integracyjne związki produkcyjne z gospodarstwami specjalistycznymi. Wzrost zadań, jakie musi osiągnąć przemysł spożywczy musi iść całkowicie w parze z poprawą jakości produkcji i estetyki opakowań.

„DZISIEJSZA WSZECHSTRONNA DEBATA SEJMOWA W PEŁNI POTWIERDZIŁA SŁUSZNOŚĆ DOKONANYCH W CIĄGU OSTATNICH 2 LAT ZMIAN W POLITYCE ROLNEJ — stwierdził premier P. Jaroszewicz. — **POZYTYWNIE OCENIONE ZOSTAŁY DOTYCHCZASOWE PRZEDSIĘWZIĘCIA ORGANIZACYJNE I WYSIŁKI RZĄDU, ZMIERZAJĄCE DO PRZYSPIESZENIA WZROSTU PRODUKCJI ROLNEJ I SPOŁECZNO-TECHNICZNYCH PRZEOBRAŻEŃ ROLNICTWA... JESTEŚMY PRZEKONANI, ŻE PRZYJĘTE NA 1973 ROK ZADANIA W DZIEDZINIE ROLNICTWA I PRZEMYSŁU SPOŻYWCZEGO ZOSTANĄ W PEŁNI WYKONANE".**

J. ŻAK

W POBLIŻU

◎ **KONFERENCJE PARTYJNE.** W miejskich i powiatowych organizacjach partyjnych rozpoczęły się już sprawozdawczo-wyborcze konferencje partyjne. Pierwsze konferencje partyjne odbyły się w **BRZEZINACH, ŁASKU, ŁĘCZYCY, RAWIE MAZOWIECKIEJ I TOMASZOWIE MAZOWIECKIM.**

Delegaci ocenili pracę organizacji partyjnych, a w podjętych uchwałach nakreślili kierunki działania na najbliższe dwa lata. Wybrano też nowe władze organizacji partyjnych. I sekretarzem KP partii w Brzezinach został ponownie **Jan Postół**, w Łasku — ponownie wybrano **B. Włodarczyka**, w Łęczycy — I sekretarzem ponownie został **J. Budziński**, w Rawie Mazowieckiej — ponownie wybrano I sekretarzem **T. Szymańskiego**, a w Tomaszowie Mazowieckim — również ponownie I sekretarzem został **J. Kowalski.**

Miejskie i powiatowe konferencje wybrały też delegatów na Wojewódzką Konferencję Sprawozdawczo-Wyborczą PZPR. Delegatem łęczyckiej organizacji partyjnej został I sekretarz KW PZPR w Łodzi — **Jerzy Muszyński.**

◎ **POWOŁANO** Komitet Honorowy Roku Nauki Polskiej. W skład Komitetu weszli działacze państwowi, partyjni, wybitni naukowcy, przodujący robotnicy. Łódź w Komitecie Honorowym Roku Nauki Polskiej reprezentuje **Stanisława Świderska** — prządka Widzewskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego 1 Maja, poseł na Sejm PRL, członek Egzekutywy KŁ PZPR, Budowniczy Polski Ludowej. Województwo Łódzkie — **Szczepan A. Pieniążek** — dyrektor Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk.

◎ **WŚRÓD LAUREATÓW IV KRAJOWEGO KONKURSU OSZCZĘDNOŚCI PALIW I ENERGII** znaleźli się też łodzianie. Pierwszą nagrodę w wysokości 100 tys. zł przyznano zespołowi pracowników z Instytutu Ciężkiej Syntezy Organicznej w Blachowni Śląskiej oraz zespołowi **BIURA PROJEKTÓW PRZEMYSŁU PAPIERNICZEGO I ZJEDNOCZENIA PRZEMYSŁU CELULOZOWO-PAPIERNICZEGO w ŁODZI.**

◎ **MEDALE ZA ZASŁUGI DLA OBRONNOŚCI KRAJU** otrzymali łódzcy dziennikarze: **Wiesław Machejko** — „TV", **Józef Mozga** — „PR", **Grzegorz Przysiężny** — „GR", **Konrad Turowski** — „Express Ilustrowany" i **Henryk Zawira** — „DL".

▲ **OD 5 LUTEGO BR. PŁACIMY NA „FIATA 126p"** Od 5 lutego 1973 roku specjalnie wyznaczone ajencje PKO zaczynają przyjmować przedpłaty na kupno popularnego samochodu osobowego „Fiat 126p". Mieliśmy już okazję pisać w „Odgłosach" o zasadach na jakich przyjmowane będą przedpłaty. Dziś dla odmiany publikujemy — w małym wymiarze wprawdzie, ale zawsze — przekrój technicznego wyposażenia tego samochodu oraz dane techniczne. A oto one:

SILNIK:
Umieszczony z tyłu, dwucylindrowy, rzędowy, czterosuwowy, chłodzony powietrzem.
Pojemność skokowa — 594 cm sześć.
Moc maksymalna — 23 KM wg DIN przy 4800 obr/min
Moment obrotowy — 4 kGm wg DIN przy 3400 obr/min
Stopień sprężania — 7,5:1
Paliwo — etylina 94
PODWOZIE:
Sprzęgło jednotarczowe, suche.
Skrzynka biegów czterobiegowa z biegiem wstecznym (biegi drugi, trzeci i czwarty zsynchronizowane)
Hamulce bębnowe na cztery koła z układem dwuobwodowym
Napęd na tylne koła
Kierownica bezpieczna
Ogumienie promieniowe — 135X12
NADWOZIE:
Blaszane, samonośne, dwudrzwiowe, czteromiejscowe
Ogrzewanie nadmuchem ciepłego powietrza
Bagażnik o poj. ok. 100 dcm sześć., z przodu
WYMIARY I CIĘŻAR:
Długość — 3054 mm
Szerokość — 1377 mm
Wysokość przy obciążeniu około — 1300 mm
Najmniejszy promień skrętu — 4300 mm
Ciężar samochodu — 530 kG
Nośność użyteczna — 4 osoby + 40 kG

DANE EKSPLOATACYJNE:
Prędkość maksymalna do — 110 km/godz
Zużycie paliwa — 5,0—5,5 l./100 km
Pojemność zbiornika paliwa — 21 l.
Samochód może ciągnąć przyczepę turystyczną lub bagażową o łącznym ciężarze do 300 kG.
Istnieje możliwość założenia bagażnika dachowego o nośności do 30 kG.

M. RODAK

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, MAREK WAWRZKIEWICZ.

WIELKA ROLA „MAŁEJ PRASY“

JERZY SOBCZYK

Mówimy „gazeta zakładowa", czyli „zakładówka", nie uświadamiając sobie do końca roli, jaką wśród gazet codziennych i periodyków ma do spełnienia ta „mała prasa". Gazety zakładowe, inicjując szerokie akcje społeczne, wciągając ludzi do działania – odwołują się do opinii załogi, jak na przykład zrobił to radomszczański **„Głos Famegu"**, przeprowadzając sondaż opinii wśród pracowników, czy tomaszowskie **„Włókna Sztuczne"**, inspirujące pożyteczną akcję festynu robotniczego dla załogi i społeczeństwa miasta.

Codzienna praktyka wykazuje, że **pracownik przedsiębiorstwa chwyta za pióro lub telefon, aby skontaktować się z gazetą, którą uznał za swoją, tylko wówczas, gdy ma jakąś sprawę do załatwienia czy problem do rozwiązania** — z osobistego lub społecznego punktu widzenia. Sygnały te stanowią nie tylko dla redakcji pism zakładowych cenne źródło informacji. Są to też sygnały orientujące publicystów w problemach interesujących społeczeństwo.

Jednak z praktyki gazet zakładowych wynika, że **nie są one dostatecznym forum dla wypowiedzi załóg.** Ich więź z gazetami, ukazującymi się dla nich, jest jeszcze zbyt luźna. Gazety zakładowe np. nie drukują dostatecznie szerokiej gamy listów do redakcji. Nadal mówi się o braku artykułów napisanych przez robotników. A niektórzy redaktorzy tych gazet przyczynę zjawiska widzą w „nietolerancji" związanej z informacjami krytycznymi. Nie bez znaczenia dla rozwoju tej prasy — a podkreślająca jej specyfikę — jest możliwość wywierania różnorodnej presji dyrekcji za zbyt ostrą krytykę. Z drugiej strony fakt ten zmusza do rzetelności i stawia duże wymagania ludziom piszącym do zakładowych gazet. Wymaganiom tym nie są w stanie podołać ludzie społecznie redagujący zakładowe gazety, jak to ma np. miejsce w PZPB im. Bojowników Rewolucji 1905 r. w Pabianicach, gdzie ukazuje się np. **„Informator"**, którego kolektyw wyłoniony z grona pracowników zakładu potrzebuje pomocy dziennikarzy zawodowych.

Na kształt gazet zakładowych mają wpływ sprawy organizacyjne, jak np. warunki lokalowe. Krytycznie należy odnieść się do opiekunów **„Głosu Famegu"** z Radomska. Gazeta ta wystartowała wprawdzie niedawno, to jednak do chwili obecnej nie załatwiono szeregu jej spraw.

Mam przed sobą ostatnie, dodatkowe wydanie **„Gazety Ziemi Piotrkowskiej"** — a więc cztery numery **„Naszej Fazeny"** dla Fabryki Maszyn w Radomsku oraz okolicznościowe wydanie **„Gazety Kary"**. Okazuje się, że prezentacja tematyki zakładu jest odpowiedzią na społeczne zapotrzebowanie. Są to bowiem nowe wydawnictwa, powstałe z konkretnych potrzeb załóg tych przedsiębiorstw.

W latach pięćdziesiątych było w kraju **300** gazet zakładowych. Z tej liczby zostało do dziś — 125. Pierwszymi były **„Głos Widzewa"** i **„Echo Chełmka"** — powstałe w 1945 r. Obecnie np. w Warszawie i województwie warszawskim ukazuje się 37 gazet, w kieleckim — 8 gazet. **W rejonie łódzkim są 4 gazety: „Włókna Sztuczne"** w „Wistomie" w Tomaszowie Mazowieckim, **„Informator"** w Pabianickich Zakładach Przemysłu Bawełnianego, im. Bojowników Rewolucji 1905 r. w Pabianicach, **Głos Famegu"** w Fabryce Mebli Giętych w Radomsku i **„Echa Elty"** w Łodzi.

Prasa zakładowa z trudem zdobywała sobie autorytet i poczytność. W przeszłości nie doceniano funkcji wychowawczej tego typu gazety. Rzeczywistość potwierdziła ich ważną społeczno-gospodarczą i polityczną rolę.

O czym powinny zatem pisać? Jaki mieć charakter?

Powinny one być **trybunami załóg,** mają więc pisać o wszystkim, co wiąże się z zakładem, o sprawach drobnych i ważnych z punktu widzenia załogi, a jednocześnie informować o zamierzeniach kierownictwa politycznego, administracyjnego, związkowego i samorządu. Są one organami samorządu robotniczego, działającymi pod politycznym kierownictwem komitetów zakładowych partii. Powinny odzwierciedlać opinie i problemy życia załogi, uczestniczyć w pracy ideowo-wychowawczej, przekazując młodym dobre tradycje załogi — tylko wtedy ma sens ich istnienie. Dlatego też powinny **posługiwać się językiem prostym i zrozumiałym.**

Zadaniem gazety zakładowej — zgodnie z przypisaną jej funkcją — jest **tworzyć platformę społecznej krytyki i kontroli.** Jest to specyficzna sytuacja gazety, której odbiorcami jest wielotysięczna załoga jednej fabryki, tysiące ludzi o różnych zawodach. I dlatego gazeta zakładowa musi być mocno związana realiami, którymi żyje społeczność przedsiębiorstwa.

Czy gazety zakładowe spełniają te funkcje, do których zostały powołane?

W województwie łódzkim gazety zakładowe ukazują się w największych zakładach, których załogi stanowią odpowiednią bazę dla ich rozwoju. Ale praktyka pokazała, że musiały one przejść szereg przeobrażeń, aby znaleźć się w pobliżu swego modelu. Sporo doświadczeń pod tym względem mają **„Włókna Sztuczne"** oraz **„Informator"**. Swojej drogi do załogi szuka młody **„Głos Famegu"**, którego pierwszy numer ukazał się w lipcu 1971 r. Jednorazowy nakład gazet zakładowych sięga 7 tys. egzemplarzy. Analiza zawartości tych gazet potwierdza, że interesuje się rozległą sferą spraw produkcyjnych, socjalno-bytowych, czy kulturalnych. Nie pomijają zagadnień sportu, turystyki i wypoczynku załogi. Zgłaszają różne propozycje i sugestie w tych sprawach.

Wiele pisze się o sprawach socjalno-bytowych. A więc o tych sprawach, którymi zajmuje się partia i kierownictwo rządu. Załoga powinna bowiem jak najwięcej wiedzieć o swoim zakładzie, jego sukcesach i bolączkach.

Z łamów gazet nie schodzi też tematyka dotycząca form realizowania uchwał zjazdowych. Jeśli załoga, pokonując trudności, walczyła o zadania planu — gazety poświęcały temu wiele miejsca, pokazując najlepszych ludzi, wskazując na inicjatywę i pomysłowość, popularyzując najlepsze wzorce, czy wskazując na blaski i cienie np. postępu technicznego. **„Głos Famegu"** np. zaproponował dla najlepszych ludzi odznaki zasłużonego pracownika.

W wielu artykułach jednakże więcej uwagi zwraca się **nie na skuteczność działania**, a na poprawność i układność. Publikacje zbytnio przypominają referaty wygłaszane na różnego rodzaju konferencjach, są długie, najeżone cyframi i nudne. **Sporo przeobrażeń należy życzyć pabianickiemu „Informatorowi".** Ba, w niektórych zakładowych gazetach można było spotkać artykuły, które czytelnicy mogli przeczytać w prasie codziennej.

Gazeta powinna częściej i śmielej pisać o tym, co jest złe. Nie zapominając przy tym, że najbardziej potrzebne są wnioski i propozycje, dotyczące sposobów rozwiązywania trudnych spraw fabryki. A przecież znane jest stanowisko, jakie zajmuje administracja po krytycznych publikacjach zakładowej gazety. **Nic bardziej błędnego, jak obrazić się na gazetę, że podniosła, aby ją załatwić, drażliwą i trudną sprawę człowieka. Gdy tymczasem krytyka zakładowej gazety powinna być formą kontroli tych zadań, które nakreśliła partia. I tę formę mogą stosować tylko te gazety, które wydaje silny samorząd. W takim zakładzie prawo do krytyki nigdy nie będzie teorią.**

Uchwała VI Zjazdu określiła rolę gazety i jej miejsce we froncie ideologicznym, jako rolę wychowawcy załogi. Zobowiązuje to nie tylko do przekazywania informacji i opinii „z dołu do góry" i „z góry do dołu", ale nakazuje **aby i w imieniu załogi krytykować jej członków za nieróbstwo i lekceważenie obowiązków.** Jednak nie według dawnego schematu, który pozwalał krytykować robotnika, ale nie majstra czy kierownika. Gazeta zakładowa powinna więc wyrażać opinię załogi i opinię dyrekcji i samorządu. Powinna być formą spełniania demokracji socjalistycznej.

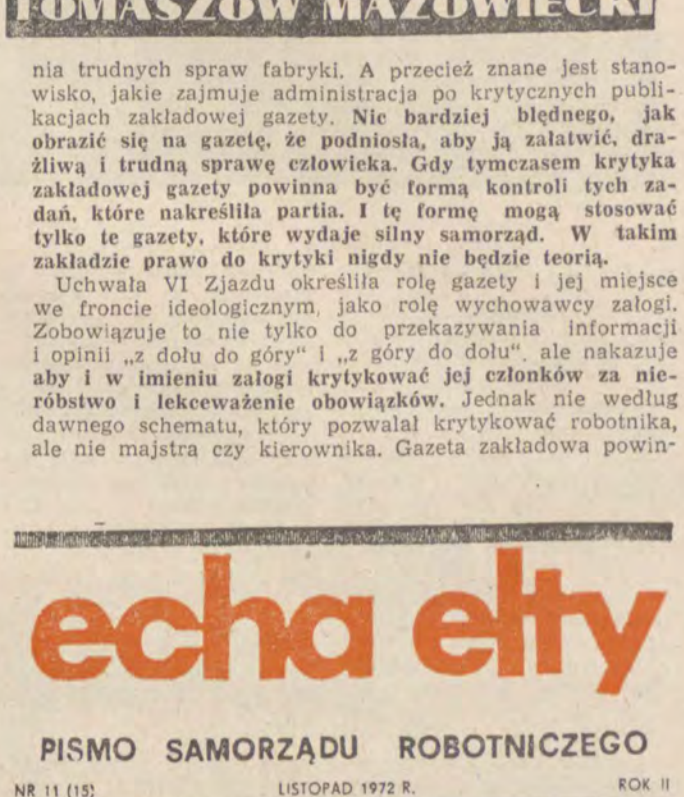

Aby gazety zakładowe mogły spełniać skuteczniej swoje funkcje, rozważa się obecnie koncepcję utworzenia **odrębnego wydawnictwa związkowego, obejmującego prasę zakładową.** Pozwoliłoby to uwolnić je np. od niektórych nacisków administracji, a przede wszystkim zapewnić odpowiednich ludzi piszących oraz poziom poligrafii. Chodzi przecież o to, aby gazety zakładowe, współdziałając z komitetami zakładowymi partii i aktywem związkowym, inspirowały i wywierały wpływ na podejmowanie właściwych decyzji przez różne czynniki administracji przedsiębiorstw.

Powinny one być odbiciem niektórych niepowodzeń czy trudności oraz osiągnięć fabryki. Rzetelna informacja uprawiana przez prasę przyczynia się do kształtowania socjalistycznej świadomości załogi. Ich zadaniem jest edukacja ekonomiczna załogi, pokazywanie tego co postępowe i nowe w gospodarce zakładów.

Zadaniom tym służą np. dyskusje z załogą na temat: **„co robić, żeby lepiej i efektywniej pracować"**, jaką prowadzą **„Włókna Sztuczne"** w „Wistomie", czy popularyzacja wśród młodzieży współzawodnictwa pracy przez pabianicki **„Informator"**. Żadna przecież inna gazeta nie ma takiej możliwości stosowania systemu moralnych wyróżnień, popularyzowania tradycji zakładu i angażowania kadry inżynieryjnej i ekonomicznej do twórczego wysiłku w rozwiązywaniu spraw produkcji, czy brygadzistów i majstrów w wychowanie młodych robotników. **Gazety zakładowe muszą przyczyniać się do eliminowania z życia tego, co hamuje, komplikuje i utrudnia pracę, wpływa ujemnie na efekty gospodarowania przy wytkniętym celu zbudowania drugiej Polski.**

WIELKI LAMENT KIBICA

Przeczytałem artykuł pt. „Wielki lament na wrednych kibiców" i muszę przyznać, że udało się. A. Makowieckiemu wetknąć kij w mrowisko.

Jestem kibicem piłki nożnej od wielu lat. Nie jestem fanatykiem, choć większą sympatią darzę drużynę z Zabrza, która na przestrzeni lat dostarczyła kibicom dużo więcej wrażeń sportowych od ich rywali z Warszawy.

Chociaż Legia grała w rozgrywkach pucharowych z większą ilością europejskich drużyn (Górnik dwukrotnie grał z Manchester City, Dynamo Kijów, Duklą Praga), sądzę, że w ogólnym bilansie „rozkładu" światowych drużyn Górnik zapisał więcej sukcesów. Można wymienić zwycięstwa w wielu turniejach w Ameryce Płn. oraz zwycięstwo z Racing Club Buenos Aires w rok po zdobyciu przez niego Pucharu Świata.

Można na ten temat wiele powiedzieć, ale ja chciałbym nie tylko dyskutować na temat Górnika i Legii, lecz także podzielić się moimi uwagami na temat całego naszego piłkarstwa.

Najbardziej palącym problemem w naszym kraju jest szkolenie młodych piłkarzy.

Mało słychać o pracy z młodzieżą w naszych klubach, a już szczególnie w Górniku i Legii. Chociaż Górnik zatrudnił do szkolenia narybku piłkarskiego Wodarza (lewoskrzydłowy naszej jedenastki w jedynym turnieju mistrzostw świata) to trudno powiedzieć, czy wyniki jego pracy będą takie jak wyniki pracy wychowawcy Wilczka, Banasia, Szołtysika. Ale to już jest coś. Ważne jest, że o tych sprawach myśli się — bo przecież lepiej późno niż wcale. Może już w niedługim czasie red. Mieczysław Wójcicki (podobno encyklopedia sportowa) usłyszy o kilku Kolankach. A może już w tej chwili słyszał o kilku innych wychowanych w warszawskiej Legii?

Zgadzam się z powszechną opinią, że w większości naszych klubów praca z młodzieżą jest traktowana jako zło konieczne, ale wydaje mi się, że nie tylko przez wychowywanie od kołyski piłkarzy powinno być siłą naszych klubów (także reprezentacji), ale właściwa, zgodna z interesami całego naszego piłkarstwa troska o wielkie talenty, ukazujące się w składach tych „maluczkich".

Wszyscy psioczą na zawodników zmieniających barwy klubowe, zawiesza się ich w czynnościach i tylko od „pleców" klubów starających się o nich zależy, czy ten zawodnik będzie grał, czy przesiedzi cały rok na ławce rezerwowych (gdzie tu troska o dobro polskiego piłkarstwa?). Czy stać nas na to, by Deyna, Lubański, Gorgoń, Szarmach, Szołtysik, Gadocha kopali piłkę w klubach, gdzie sukcesem jest połamanie jak największej ilości piszczeli?

Co by się stało, gdyby ci zawodnicy grali w swych dawnych klubach? Czy Deyna zostałby królem strzelców turnieju olimpijskiego, czy Szarmach klasyfikowany byłby na jedenastej pozycji w plebiscycie „Sportu", czy Lubański byłby napastnikiem podziwianym na wielu światowych stadionach? Transfery są konieczne. Wydaje mi się, że w interesie całego polskiego piłkarstwa leży to, aby Szarmach i jemu podobni trafiali do takich klubów, jak Legia czy Górnik, a nie do Polonii, Gwardii czy ROW.

Dokąd nie dorobimy się takiej ilości drużyn o wyrównanym poziomie, jak dla przykładu Anglicy, innego wyjścia nie widzę, ale nie pochwalam zamiany Musiałka i Ogazy (reprezentant Polski juniorów!) na Wilima, który błyszczał w kilku meczach. Za podobne przykłady możemy mieć pretensje tylko i wyłącznie do działaczy i pseudofachowców wielu naszych klubów. A sprawa Sadka, z którego selekcjoner reprezentacji zrezygnował, gdyż działacze ŁKS twierdzili, że po grze w reprezentacji słabiej wypada w meczach mistrzowskich. Takich i podobnych przykładów jest wiele.

Przez łódzkie kluby przewinęło się wielu zawodników, w których talent łódzcy „fachowcy" bardzo wątpili. Wspomnę tylko o Gomoli, który dopiero po trafieniu do Górnika przywdział nie raz koszulkę z białym orłem.

A sprawa trenerów — czy stać nas na podobne zatrudnianie zagranicznych fachowców, jak zrobił to ŁKS, Gwardia czy Stal Rzeszów? Przecież ośmieszamy się informując czytelników, że trenerzy: Hary, Kuzniecow i Hidekuti po trzech miesiącach pracy wyjechali na urlopy wypoczynkowe. Dlaczego nie wrócili?

Nieprawdą jest, że przy każdej okazji chwali się Górnika za jego grę, a obrzuca błotem Legię i jej zawodników. Dzieje się tak tylko wtedy, kiedy Legia dostaje lanie od Górnika w bezpośrednim pojedynku. Bo przecież po ostatnich rozgrywkach pucharowych (mimo, że obie drużyny odpadły) na łamach sportowej prasy nie zostawiono suchej nitki na Górnikach, a Legię wyniesiono pod niebiosa. Wydaje mi się, że oceny dziennikarzy były trochę fałszywe. Nie oszukujmy się. Daleko Legii do poziomu sprzed trzech lat.

Kilka miesięcy temu skończyła się Olimpiada i jeszcze wszyscy z pewnością pamiętamy cenzurki wystawione naszym reprezentantom. Czynili to tacy „fachowcy", jak pp. Aleksandrowicz, Lachowicz, Szymkowiak (Piłka Nożna) i wielu innych. Nie byłoby w tej historii nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że oglądali oni mecze naszej reprezentacji (prawdopodobnie) tak, jak większość kibiców — przy telewizorze. Wtórował im Prezes PZPN, Nowosielski. Na luksus szufladkowania zawodników zwycięskiej drużyny nie pozwolił sobie tylko człowiek najbardziej do tego upoważniony i kompetentny, trener Kazimierz Górski. On najlepiej wiedział, jak wywiązywali się ze swych zadań wszyscy zawodnicy, znał najlepiej kulisy każdego meczu, a mimo to milczał. Zdobył się tylko na krytykę pod adresem szufladkujących. Wie, że stawianie wspaniałych ogniw reprezentacji w cieniu „wielkiego" Deyny jest krzywdzące. Metody takie trudno nazwać wychowawczymi. Oby nie doprowadziły do rozpadu kolektywu i nie postawiły naszej piłki nożnej w sytuacji sprzed kilku lat.

Wieszano psy na Lubańskim, gdyż podobno wypadł poniżej możliwości. Pytam jakich — strzeleckich? Czy tak trudno zauważyć, że zmienił on styl gry — przestał polować na bramki, a zaczął wykładać piłki kolegom. Oby każda reprezentacja miała takiego kapitana, taki mózg drużyny. Rozgrywanie piłki na przedpolu przeciwnika przez Lubańskiego było (moim zdaniem) wzorowe. Dzięki niemu i pozostałym kolegom z drużyny Deyna mógł zostać królem strzelców turnieju, a nasza reprezentacja stanęła na najwyższym podium. Wydaje mi się, że nagradzanie jednych z jednoczesnym krzywdzeniem innych nie powinno mieć miejsca i o tym prezes i inni wiedzieć powinni.

Zostawmy lokalny patriotyzm, nie brońmy jednych ani drugich, a zajmijmy się sprawą uzdrowienia polskiej piłki poprzez krytykowanie, obnażanie każdego zła, którego na każdym kroku jest wiele. Tu widzę duże pole do popisu dla dziennikarzy. Nie zamieszczajcie w prasie sportowej wątpliwej jakości pamiętników naszych gwiazdorów piłkarskich, lecz zajmijcie się wytykaniem błędów i wskazaniem właściwej drogi ludziom odpowiedzialnym za ulubioną przez kibiców (ba — narodową) dyscyplinę sportową, jaką jest piłka nożna.

ANDRZEJ JANKOWSKI
Rogów k/Koluszek

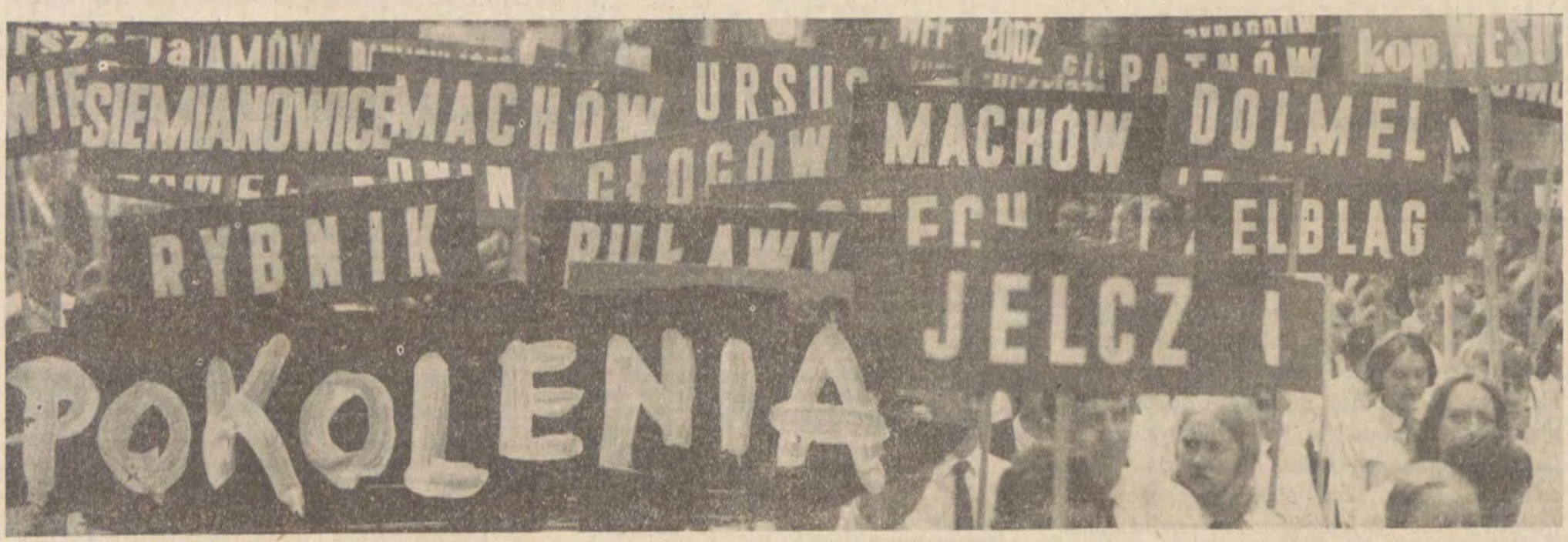

Dalszy ciąg ze str. 1

W rozważaniach o współczesnej młodzieży sięga się często do porównań z poprzednimi pokoleniami, ucieka się do stereotypu: „kiedy my byliśmy młodzi", zapominając przy tym, że były to inne warunki, inne czasy, inne zadania i inne cele. Spojrzenie wstecz, wycieczka w przeszłość ma jednak o tyle sens, jeśli jest szukaniem wzorów, rzetelną oceną ówczesnych warunków i celów, kumulacją doświadczeń, które mają przydać się w kształtowaniu współczesności.

W postawach młodego pokolenia czasów wojny, które walczyło o wolność ojczyzny, uczyło się w konspiracyjnych szkołach i uczelniach, a potem z całą energią przystąpiło do budowania nowej Polski, trzeba szukać wzorów patriotyzmu i poświęcenia. Wtedy nie deklarowano zaangażowania, a robiono to, co trzeba było zrobić. Nie było modnych słów, były nieprzespane noce i droga znaczona grobami poległych.

Dla młodego pokolenia, które wchodziło w życie w pierwszych latach po wojnie, wszystko było wielką przygodą. Niebo stawało w płomieniach, bo zrywało się z drobnomieszczańskimi wzorami, z klerykalnymi schematami myślowymi, bo obalano autorytety, aby w ich miejsce tworzyć nowe. Była to radość burzenia starego i tworzenia nowego. Była to też wielka przygoda intelektualna — zetknięcie się z marksizmem, zupełnie nowe spojrzenie na świat, nagłe poczucie własnej ważności, współdecydowania o losach kraju. Był to czas pionierskich zaciągów, Służby Polsce, budowy Nowej Huty. Był to czas ZMP. Związku, który — jak to powiedział na VII Plenum KC PZPR I sekretarz, **Edward Gierek — „zjednoczył polski ruch młodzieżowy i dokonał jego zasadniczej reorientacji w kierunku marksistowsko-leninowskim. ZMP dał szczytne imię pokoleniu wielkiego awansu cywilizacyjnego, wielkich budowli socjalizmu i powszechnego dążenia do wiedzy".** I chyba w dziejach tego pokolenia znaleźć można wiele wzorów i doświadczeń, które mogłyby stać się przydatne w czasach **BUDOWY DRUGIEJ POLSKI.**

II. Hasło: **ZBUDUJEMY DRUGĄ POLSKĘ** — nie jest tylko pojęciem statystycznym. Nie chodzi tu bowiem o podwojenie naszego stanu posiadania, ale o stworzenie nowej jakości. **DRUGA POLSKA**, którą mamy zbudować, ma być krajem nowoczesnej techniki, nowoczesnych stosunków społecznych, wzorem społeczeństwa socjalistycznego. Aby tego dokonać trzeba umieć wykorzystać wszelkie zdobycze rewolucji naukowo-technicznej, przeorać dotychczasowe systemy myślenia, nauczyć się wykorzystywać każdą pożyteczną inicjatywę, każdą twórczą myśl, każdy społecznie pożyteczny wysiłek.

BUDOWANIE DRUGIEJ POLSKI staje się więc kategorią ideową. Jest to **WIELKA SZANSA MŁODEGO POKOLENIA POLAKÓW.** Ale szansę tę wykorzysta tylko pokolenie ludzi rozumnych, solidnie wykształconych, dobrze do życia przygotowanych. I właśnie dlatego, aby młode pokolenie Polaków z szansy tej mogło skorzystać, partia taką uwagę przywiązuje do jednolitego programu wychowania. Zbudowanie DRUGIEJ POLSKI, to nie tylko stworzenie nowoczesnej gospodarki, ale również warunków dla wszechstronnego rozwoju osobowości każdego człowieka, zaspokajania wielorakich zainteresowań, kształtowania postaw ludzi współgospodarzących i współodpowiedzialnych za losy kraju.

Jest to więc czas burzenia starych nawyków, schematów, skostniałych systemów myślenia, walki z asekuranctwem, wygodnictwem i bezideowością. Jakże pozornie podobny do czasu „pokolenia ZMP". Pozornie — bo rzecz dzieje się w nowych warunkach, bogatszych nie tylko o doświadczenia tamtego okresu, ale i o poprzednie osiągnięcia. Symbolami tamtego czasu była Nowa Huta, trójki murarskie, trasa „W-Z". Symbolami czasów dzisiejszych jest Huta „Katowice", Port Północny, Trasa Łazienkowska. Ale wówczas i dziś wśród tych, którzy projektują i budują byli i są młodzi.

III. **W najbliższym czasie odbędą się zjazdy współcześnie działających organizacji: Związku Młodzieży Socjalistycznej, Związku Młodzieży Wiejskiej i Związku Harcerstwa Polskiego. W połowie lutego br. obradować będą delegaci blisko 1.300-tysięcznej rzeszy zetemesowców. Zrzeszeni są oni w około 53 tys. kół, które działają w fabrykach, przedsiębiorstwach wszelkiego typu, urzędach, a także na wyższych uczelniach i w szkołach.**

Na Zjeździe Delegatów ZMS, jak i na innych, stworzy się program pracy tych organizacji, które będą konkretyzacją zadań sprecyzowanych przez VII Plenum KC PZPR.

IV. W jednolitym programie wychowawczym, stworzenie którego zaleciło VII Plenum KC partii, wielka rola przypada organizacjom młodzieżowym. Program ten ma nie tylko opierać się na wyraźnie sprecyzowanych i jednolicie interpretowanych wartościach ideowych, ma nie tylko trafnie wyznaczać sfery działania młodzieży, ale również zharmonizować dostosowane do wieku młodzieży fazy wychowawczego oddziaływania, a także zapewnić jednolite kierowanie wszystkimi wychowawczymi poczynaniami. Program ten ma zapewnić skuteczne przygotowanie **budowniczych DRUGIEJ POLSKI.**

ZMS uwagę swoją koncentruje przede wszystkim na problemach młodzieży robotniczej. Jest on organizacją ideowo-polityczną reprezentującą aspiracje i interesy tej młodzieży. W szeregach ZMS młody człowiek powinien nauczyć się odpowiedzialności za to wszystko, co dzieje się w jego otoczeniu.

ZMS jest na przykład formalnie członkiem Konferencji Samorządu Robotniczego. Formalnie jednak nie tylko dlatego, że tak przewiduje status KSR, ale przede wszystkim dlatego, że udział organizacji w pracach samorządu przedsiębiorstwa sprowadza się do podpisywania listy obecności i odsiadywania na zebraniach. Stan taki próbuje się wyjaśnić niekomunikatywnością materiałów przygotowywanych na KSR, późnym ich dostarczaniem, a czasem wręcz pomijaniem młodych członków samorządu. W Łodzi proponuje się dla przełamania takiego stanu rzeczy zobowiązanie zakładowych organizacji ZMS do występowania z pewnego rodzaju koreferatami wobec każdego problemu zgłaszanego pod obrady KSR. Pragnie się w ten sposób — formalny jednakże — zmusić młodych do zaprezentowania swego zdania w każdej sprawie, która powinna ich obchodzić i w której powinni mieć coś do powiedzenia.

O młodych mówi się bowiem, że są krytyczni, ale nie zawsze potrafią pokazać sposoby wyjścia. Dopasowują rzeczywistość do ideałów, a kiedy stwierdzają, że występuje między nimi rozdźwięk, stają bezradni. Brakuje im czasem doświadczenia niezbędnego dla znalezienia owych, tak pożądanych dróg wyjścia. Tego doświadczenia chce im dostarczyć ZMS, zmuszając niejako do prezentowania swego zdania w każdej sprawie przedsiębiorstwa, w którym pracują i sprawy którego powinny ich żywo obchodzić. Ma to być szkoła rządzenia.

Najlepszym jednak środkiem pobudzania inicjatyw jest ich **skuteczność.** Dobrym przykładem tego może być szukanie różnorakich sposobów oszczędzania materiałów, paliw i energii. W jednej z łódzkich fabryk — dość późno — spostrzeżono, że dzień i noc palą się lampy rtęciowe. Spostrzegli to młodzi. Zainterpelowali w dyrekcji, motywując to swoją troską o oszczędność energii. Okazało się, że zakładając owo oświetlenie... zapomniano założyć wyłączniki. Młodzi dzięki takim spotrzeżeniom wykryli wiele marnotrawstwa i przyczynili się do powstania znacznych oszczędności w gospodarce materiałami, paliwami i energią. I to też jest szkoła rządzenia.

Komitet Centralny partii na VII Plenum wezwał młodzież do obejmowania **„patronatem"** wszystkich ważniejszych dla kraju inwestycji. Patronat jest formą pomocy w kształtowaniu załogi, a jednocześnie szansą dla młodych na zdobycie doświadczenia zawodowego, awansu i społecznego uznania. Młodzież roztoczyła też patronat nad budownictwem mieszkaniowym. W Łodzi w ramach tego patronatu wybuduje się poza planem 2,5 tys. izb. Wielu młodych — uczestników akcji patronackiej, którzy dzięki swojej dodatkowej pracy wcześniej zdobędą mieszkania — zwolnią miejsca zajmowane w kolejkach na spółdzielczych listach, dając tym możliwość i innym zdobycia wcześniejszego mieszkania. Akcja ta napotyka jednak na pewne trudności. W Pabianicach na przykład doszło do zawarcia z młodymi umowy bez pokrycia. Dodatkowa praca młodych — po godzinach pracy zawodowej — prowadziła do powstania dodatkowych izb, ale bez dodatkowych, wcześniejszych przydziałów mieszkań. W Łodzi pragnie się uniknąć takich sytuacji i choć przeszło tysiąc młodych pragnie poświęcić swój wolny czas dla szybszego zapracowania na mieszkanie, to taką pracę daje się im tylko wtedy, jeśli istnieje gwarancja uzyskania konkretnego rezultatu. Postępowanie słuszne, bo to jest również szkoła rządzenia, a wszelka nieskuteczność w takim działaniu prowadzi do wręcz odwrotnych rezultatów.

V. **„Praca wśród młodzieży nie znosi formalizmu, nie może skutecznie rozwijać się w zbiurokratyzowanych formach. Działania na pokaz, dla zewnętrznego efektu mogą przynieść jedynie szkodę". („Tezy Programowe KC PZPR")**

VI. **Nie ma sensu narzekać na młodzież, że jest zła, bezideowa, nijaka, że tylko chce a nic z siebie nie daje. Trzeba jej po prostu umieć pokazać cel naszego działania, uczyć patrzeć w przyszłość, uczyć rozmachu i nowoczesnego myślenia. Ale tego wszystkiego trzeba też umieć nauczyć się samemu. Inaczej bardzo trudno będzie zbudować DRUGĄ POLSKĘ, a zbudować ją trzeba.**

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Listy do Redakcji

PROPOZYCJE

Pozwalam sobie zwrócić się do redakcji z pewną sugestią, którą nurtuje mnie od dawna. A odnoszę wrażenie, że i duża część sympatyków i entuzjastów naszej literatury byłaby zainteresowana tą sprawą.

Chociaż nie jestem związany z łódzkim środowiskiem literackim, jego sprawy interesują mnie bardzo, gdyż uważam, je za jeden z najważniejszych (tak!) ośrodków w kraju. A swoisty sentyment do spraw lokalnych odgrywa z pewnością także pewną rolę.

Napisałem powyżej, że łódzkie środowisko literackie jest, w moim (i chyba nie tylko moim) przekonaniu, silnym ośrodkiem. Zresztą książki pisarzy łódzkich spotykają się z pozytywnym przyjęciem także i u krytyków na łamach prasy stołecznej, jak np. powieść Wacława Bilińskiego „Los i łut szczęścia", o której Wojciech Żukrowski pisał w „Nowych Książkach" (13 — 1972): „...jest dobrą, mocną książką, zapewniam — nie do spania, ani łatwej zabawy... jego pisarstwo ma cechy czasoodporne".

Innym dowodem wzrostu rangi łódzkiego środowiska było chyba także powierzenie naszemu miastu organizacji ostatniego zjazdu ZLP.

Istnieje w Łodzi spora grupa doskonałych liryków, których utwory cieszą się popularnością. Ale szczególne znaczenie ma działalność translatorska tych łódzkich poetów, którzy z dużym mistrzostwem przyswajają językowi polskiemu wiele cennych wierszy twórców rosyjskich i narodów ZSRR, zwłaszcza białoruskich i gruzińskich.

Byłem ostatnio obecny na wieczorze poświęconym poezji rosyjskiej i radzieckiej, tłumaczonej przez pisarzy łódzkiego środowiska literackiego. Wystąpili ze swymi przekładami: W. Jażdżyński, I. Sikirycki, K. Frejdlich, J. Huszcza, T. Chróścielewski, J. Kononowicz, J. Waleńczyk, J. Wilmański i M. Szargan. Spotkanie to było dla mnie wielkim przeżyciem, ale jednocześnie przykro odczułem, że tak mało, stosunkowo, łodzian zjawiło się tego wieczoru. Czyżby ich to nie interesowało? A może nie wiedzą zbyt wiele o działalności pisarzy naszego okręgu?

Pomyślałem sobie, że może by było warto wyjść naprzeciw literackim zainteresowaniom łodzian odnośnie najbliższej nam, łódzkiej literatury? A mamy się kim szczycić, aby wspomnieć tutaj chociażby Stanisława Czernika. Można by zresztą wyliczyć cały poczet znanych nazwisk, związanych na krócej, lub na dłużej z Łodzią.

Twórczość pisarzy łódzkich warta jest większego spopularyzowania, gdyż — moim zdaniem — zbyt mało jest znana w swoim rodzinnym mieście. Zbliżająca się 550 rocznica powstania Łodzi jest dogodną okazją, aby zaprezentować szerszemu ogółowi czytelników, podsumowując niejako, dorobek pisarzy łódzkich.

Proponuję wydanie „Albumu pisarzy łódzkiego środowiska literackiego lat 1945 — 1972". Przy pełnym zainteresowaniu samych pisarzy, i pomocy Wydawnictwa Łódzkiego, można by chyba w przyśpieszonym tempie wydać ową pozycję. A zapotrzebowanie na tego rodzaju album istnieje. Warto dodać, że publikacje tego typu powstały m. in. w okręgu katowickim i poznańskim, spotykając się z ogólną aprobatą.

Układ albumu pisarzy łódzkich pozostaje sprawą otwartą, ale można by np. zaproponować, aby zawierał: fotografie danego twórcy, jego sylwetkę oraz wyczerpujące dane bio- i bibliograficzne.

Proponuję także, aby — może na gościnnych łamach „Odgłosów" — zorganizować stały konkurs na najlepsze książki naszych łódzkich autorów danego roku kalendarzowego. Szczególny nacisk można by położyć na utwory o tematyce związanej z Łodzią. Czytelnicy „Odgłosów" wybieraliby kilka, ich zdaniem najlepszych, pozycji. Wyróżnionym autorom można by przyznać np. nagrodę im. J. Tuwima, a wśród czytelników — uczestników konkursu rozlosować książki łódzkich pisarzy z ich autografami.

Konkurs miałby także jeszcze inną, może nawet bardziej doniosłą rolę: przyczyniłby się w dużym stopniu do popularyzacji twórczości pisarzy łódzkiego środowiska.

Tyle z mojej strony. Cieszyłbym się bardzo, gdyby moja inicjatywa zaowocowała w przyszłości.

KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI
Asystent UŁ.

OD REDAKCJI: Spodziewamy się, że w sprawie tej wypowiedzą się zainteresowani. Propozycje dla „Odgłosów" rozważymy.

SKARBY

Któż z nas w dzieciństwie nie marzył o znalezieniu prawdziwego skarbu, któż nie zachłystywał się pasjonującymi lekturami o poszukiwaczach skarbów, o opuszczonych domach, w których ukrytym bogactwem opiekowały się siły tajemne, o skrzyneczkach pełnych złota i skrzących klejnotów? Z czasem wyrastało się z takiej lektury, a marzenia o znalezieniu skarbu zastępowały inne, zupełnie przyziemne sprawy. A przecież byli ludzie, którzy nie porzucili myśli o odszukaniu ukrytego bogactwa, którzy poświęcili całe swoje życie, żeby je odnaleźć. Tym ludziom poświęcił swoją książkę Jacek Kolbuszewski. Jego „Skarby Króla Gregoriusa", jak pisze na wstępie „...są przede wszystkim opowieścią o ludziach dziwnych. Ludziach, którzy uwierzywszy w istnienie zaklętych skarbów, wyspecjalizowali się w ich poszukiwaniach i stworzyli cały system wiedzy tajemnej, dziś zapomnianej". Pisze więc Kolbuszewski o ludziach, którzy przemierzali Tatry, Beskidy, Karkonosze i Pieniny, aby wydrzeć górom tajemnice, jakie w sobie kryją, cytuje stare zapiski, które zawierały wiadomości, jak dotrzeć do ukrytego skarbu, dołączył do swojej książki także ilustracje przedstawiające dziwne skalne znaki, koła magiczne i napisy mające pomóc poszukiwaczom w ich awanturniczych przedsięwzięciach. Książka Kolbuszewskiego jest także opisaniem gór, wokół których przez wieki narastały legendy i sensacyjne zapiski.

„Na lewej ręce, skąd woda przychodzi, obejźryj się, obaczysz a znajdziesz wielki kamień przeciw północy. Tam, na tym są dwa krzyże † † przeciwko sobie. Miej się ku temu kamieniowi, potym od tego kamienia udawaj się prosto na północ, to przyjdziesz ku dziurze. Wnijdź do tej dziury". Nie będziemy czytelnikom zdradzać dalszej drogi do ukrytego skarbu. Kto będzie miał ochotę go znaleźć, niech koniecznie zajrzy do książki Jacka Kolbuszewskiego. Myśmy już wyprawę zorganizowali.

Jacek Kolbuszewski „Skarby króla Gregoriusa o poszukiwaczach skarbów w XVII i XVIII wieku". Wydawnictwo „Śląsk", Katowice 1972, str. 193, cena 23 zł.

„WIOSENNA NOC"

„Wiosenna noc" to kolejna wydana u nas powieść jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy norweskich, zmarłego w 1970 roku Tarjei Vesaasa. Przypomnijmy, że do tej pory ukazały się: „Nocne czuwanie", „Pałac lodowy" i „Ptaki". Ta ostatnia powieść doczekała się zresztą znakomitej polskiej wersji filmowej — był to „Żywot Mateusza", reżysera Leszczyńskiego.

„Wiosenna noc", piękna poetycka opowieść, przypominająca nieco w nastroju właśnie „Ptaki", to wczesniejsza powieść Vesaasa. Jej bohaterami jest dwójka rodzeństwa: czternastoletni chłopiec i jego osiemnastoletnia siostra, którzy podczas wiosennej nocy przeżywają niezwykłą przygodę. Dziwna rodzina, która przypadkowo zostaje u nich w gościnie, wprowadza ze sobą atmosferę niepokoju, nerwowości, ich trudne, zawikłane i nie dopowiedziane do końca problemy i konflikty stają się także udziałem pary młodych bohaterów.

Powieść Tarjei Vesaasa jest bardzo specyficzną lekturą, może zniechęcić tych, którzy szukają tradycyjnej akcji. Na pewno będzie atrakcyjną książką dla czytelnika wyrobionego. Powieść ukazała się w serii „Współczesna Proza Światowa".

Tarjei Vesaas „Wiosenna noc", PIW W-wa, 1972, str. 159, zł. 16.—

PARYŻ VILLONA

Kolejna książka z popularnej serii PIW „Życie codzienne" nosi tytuł „Życie codzienne w Paryżu Villona". Autor — Bronisław Geremek tak pisze we wstępie: „Przywołując w tytule tej książki imię Franciszka Villona mamy na myśli nie tyle określenie epoki, którą będziemy się tu zajmować, czy też ram chronologicznych książki, ile oznaczenie właściwego jej przedmiotu. Jest to więc opisanie Paryża XIV i XV wieku, ale Paryża bardzo specyficznego. Krąg złoczyńców, złodziei, prostytutek i żebraków, świat nędzy i zbrodni, to właśnie środowisko ludzi społecznego marginesu francuskiego średniowiecza, środowisko, z którym związany był słynny poeta, przedstawia w swojej książce Bronisław Geremek. Nie łatwo było wytropić losy ludzi z marginesu paryskiego. Rzadko zajmowali się nim historycy, kroniki dostarczają niewielu zapisków na ich temat, musiał więc autor szukać śladów ich życia przede wszystkim w archiwach sądowych późnośredniowiecznego Paryża. W dokumentach represji. W efekcie powstała interesująca książka, która nie tylko dostarcza wielorakich ciekawostek obyczajowych, ale też zbliża postać Villona i odsłania tło jego awanturniczej biografii.

B.M.

Bronisław Geremek, „Życie codzienne w Paryżu Villona", PIW W-wa 1972, str. 285, cena zł. 65,—

WARTO PRZECZYTAĆ:

M. Waldenberg „Wzlot i upadek Karola Kautsky'ego", Wyd. Literackie 1972, str. 650 t. I, str. 665 t. II, cena zł. 180.—

F. Fornalczyk „Hardy lirnik wioskowy", Wyd. Poznańskie 1972, str. 530, zł. 60.—

D. Maksimowić „Prośba o łaskę", PIW 1972, str. 85, cena zł. 10.—

J. Joyce „Utwory poetyckie". Wyd. Literackie 1972, str. 85 cena zł. 50.—

W. Gąsiorowski „Księżna Łowicka", LSW 1972 r., str. 450, cena zł. 32.—

B. Mróz-Długoszewski „Niepotrzebna łyżka", Wyd. Literackie 1972, str. 120, cena zł. 15.— „Świat żagli", Wyd. Morskie 1972, str. 320, cena zł. 40.—

H. Przybylski „Front Morges w okresie II Rzeczypospolitej", PWN 1972, str. 330, cena zł 42.—

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Ale nawet i teraz, kiedy nie ma wiatrów nazywanych tu „bura" (północnego wschodu) i tramuntana (z północnego zachodu) i kiedy dzień się rozsłoneczni — jest tak ciepło, że można chodzić bez płaszcza, a niektórzy letnicy znad Bałtyku chętnie by skorzystali z kąpieli — temperatura wody wynosi ok. 15 stopni. I — nawet teraz, w listopadowym słońcu dominującą barwą jest tu biel. Białe są domy wspinające się malowniczymi tarasami po wzgórzach, białe są wąskie uliczki i zaułki, białe ryneczki i białe ruiny zamku Dioklecjana. Przelotne deszcze zmywają z białych płyt chodnikowych kurz i brud. Tylko na tle białej dzwonnicy katedralnej wyróżnia się solidnym brązem ogromny pomnik biskupa Grgura Ninskoga — bojownika o upowszechnienie języka narodowego, żyjącego w X w. Tylko róże jeszcze bardziej krwawo płoną na tle białych ścian, na kwiatowym bazarze w okolicach pałacu Dioklecjana. Rekonstrukcja tego pałacu, której tylko na papierze dokonał w początku naszego wieku Hebrard-Zeiller, wskazuje jak imponująca była to budowla. Jeszcze i teraz z nadbrzeża można przejść do centrum miasta mrocznymi, wysoko sklepionymi krużgankami, korytarzami i salami.

☆ ✲ ☆

Hotel jest zbudowany po to, aby w nim mieszkali ludzie. Oczywistość tego spostrzeżenia nigdy nie narzucała mi się u nas, tutaj, gdzie w hotelach miejsc nie ma. Wielki gmach hotelu „Marjan" jest prawie pusty. Na kilkunastu piętrach rzadko gdzie palą się w oknach światła, puste są halle i korytarze, kasyno — dostępne dla gości dysponujących obcą walutą otwiera się na dwa dni w tygodniu — nie ma gości w restauracjach, zamknięto piękny basen. W ciszy wielkiego budynku wyraźnie słychać gwar rozmów hotelowej służby i szum rzadko uruchamianych wind. Wiatr, wiatr wiejący od strony morza słychać tu najwyraźniej.

☆ ✲ ☆

Nocny bar hotelu „Marjan" otwiera swoje podwoje o dziesiątej wieczorem. Duża, niska sala oświetlona czerwonym światłem. Wygodne fotele, kanapki, bar ozdobiony butelkami, w których są wszystkie trunki świata.

Barman i kelnerzy są osowiali, ludzi teraz, po sezonie prawie nie ma. Tylko w sobotę, trochę większy ruch. Wspomnienie niedawnej wizyty kibiców szkockich, którzy przyjechali tu na meez Celticu z Hajdukiem-Split: wypili wszystko, co było możliwe do wypicia, tak, że o drugiej w nocy trzeba było otwierać hotelowy magazyn — wspomnienie to budzi uśmiech rozczulenia. Bo normalnie, codziennie sennie siedzi na tej sali kilka lub kilkanaście osób. Czasami zajrzy tu kilkuosobowe towarzystwo, które przyjechało na jakiś międzynarodowy zjazd. Czasem grupka marynarzy z włoskiego lub greckiego statku handlowego. Czasem jeszcze zabłąkają się turyści niemieccy lub amerykańscy. Dla tej nielicznej widowni sześć razy w tygodniu „idzie" tu czterogodzinny program muzyczno-rozrywkowy.

Występuje polski łódzki zresztą zespół. Przez pierwszą godzinę grają standardy jazzowe, potem — wraz z piosenkarką — współczesną muzykę rozrywkową. Wykonują swoją robotę solidnie, bez przestojów, śpiewają w kilku językach, a repertuar dostosowany jest zawsze do „struktury narodowościowej" gości.

Po kwadransie lub po pierwszej półgodzinie koncertu w drzwiach korytarzyka wiodącego bezpośrednio z hotelu ukazują się „dyżurne panienki". Zawsze te same, teraz po sezonie jest ich zaledwie cztery lub pięć. Siadają na wysokich stołkach przy barze, lustrują salę fachowymi spojrzeniami, zachęcająco kołyszą zgrabnymi — trzeba przyznać — nogami. Znakomicie znają się z barmanem i kelnerami. Gdzieś po godzinie czy dwóch ktoś je poprosi do tańca, ukażą na parkiecie w doprowadzonych do minimum spódniczkach mini — tak oto dokonuje się intymno-handlowe porozumienie...

Ale oto rozpoczyna się główna część rozrywkowego programu. Najpierw wysięp uje „artystka Izabella", która wykonując coś pośredniego między tangiem a tańcem wojennym Siuksów, obnaża do połowy swoje niewątpliwe wdzięki — w drugim swym wyjściu rozbierze się zupełnie, a potem, kiedy orkiestra zacznie grać do tańca, wyjdzie na salę i usiądzie skromnie przy stoliku — okryta płaszczem złotych włosów (peruka, peruka) i zapięta pod szyję. Ale to później: teraz jeszcze duet w tańcu akrobatycznym — ona pantera, a on poskromiciel, potem kobieta — guma, potem iluzjonista racjonalny, którego ojciec był Rosjaninem, matka Serbką, on zaś jest Węgrem, potem węgierskie małżeństwo w eleganckim numerze z szablami, szpadami i sztyletami, jeszcze jeden strip-tease — i koniec godzinnego programu. Dla polskiego zespołu jeszcze godzina lub dwie grania — zależy to od frekwencji i humoru gości...

✲ ✲ ✲

Nie wiem, jak się spotkali. Może ona występowała w balecie jakiegoś zespołu pieśni i tańca, a potem w operetce czy w operze. Może on był tancerzem estradowym z kilkoma „wejściami" na telewizyjny ekran w co podlejszych programach estradowych. W każdym razie spotkali się jeszcze tutaj, w Polsce. Stworzyli duet, opracowali dwa lub trzy tańce, które wykonują do dziś. Wtedy byli samotni, może się kochali — jestem prawie pewien, że tak. Potem wyjechali z kraju. Jugosławia, Liban, Irak. Byli ze sobą długo. Tylko ze sobą, dzień i noc. Co dzień w nocy na estradzie ten sam taniec, te same gesty, ruchy, sztuczne uśmiechy. Potem parę drinków przy barze, potem noc, a po niej pusty, bezsensowny dzień. Ona go jeszcze kochała, on zaczął oglądać się za innymi. Ale ponieważ byli związani tymi dwoma tańcami, za które płacono im w zielonkawych banknotach — wędrowali dalej. Gdzieś na Cyprze, aby zabić samotność we dwoje, kupili sobie białego pudelka — miniaturę, nazwali go — powiedzmy — Karolina. Ale samotność była coraz gorsza. Ona nie mogła być bez niego, on jej nienawidził. Już trzy lata poza krajem. Więc coraz więcej drinków po koncercie, bezmyślne, samotne pijaństwa w wolne dni, coraz więcej dziewczyn — strip-teaserek, tancerek. Zielone banknoty przypływały i jeszcze szybciej odpływały... Więc postanowili zostać jeszcze rok, potem jeszcze jeden — po to, aby zarobić, aby się „odkuć". Ale ta możliwość już przeszła gdzieś obok nich. Teraz ona upija się w wolne dni do nieprzytomności w swoim wynajętym pokoju, on zaś po wódce snuje plany na przyszłość: albo ożeni się z cudzoziemką i przyjmie obywatelstwo jej kraju, żeby nie płacić pieniędzy, które zalega polskiej agencji, albo stworzy własny show — kilka rozbierających się dziewczyn, żongler, zespół muzyczny i będzie z nim jeździł po całym świecie... Tułacze, dwa ludzkie wraki.

Z WYSTAWY „WENUS" W KRAKOWSKIM TOWARZYSTWIE FOTOGRAFICZNYM

✲ ✲ ✲

Mówią, że przeszło półtora miliona takich jak oni pracuje poza granicami swego kraju: w NRF, we Włoszech, w Szwajcarii. Półtora miliona — to bardzo wiele. Więc skąd ich jeszcze tylu tutaj? Całymi godzinami podpierają ściany obok Żelaznej Bramy na rynku, wałęsają się wąskimi uliczkami, hałasują pod kinami, wysiadują od przedpołudnia do wieczora w kawiarniach. Długowłosi, przeważnie niechlujni, bardzo krzykliwi. Jugosłowiańskie problemy z młodzieżą. Co oni robią całymi dniami? I jak im się to „nic — nie — robienie" nie znudzi? Czy czekają na nowy sezon, kiedy znajdą pracę w tysiącach kafejek, w małych restauracyjkach, kiedy tyle będzie łatwych dziewczyn i tyleż możliwości równie łatwego zarobku?

✲ ✲ ✲

Wczesny wieczór, brudna i niechlujna salka kinowa. Na ścianach, na oparciach krzeseł wyryte przez pracowitych widzów napisy, z którymi my spotykamy się w zupełnie innych miejscach. Sala — jak wszędzie — pełna młodzieży. Ale nie tylko. Jest kilku dorosłych widzów, którzy przyprowadzili tu swoje kilkuletnie pociechy. Hałas, krzyki, szaro od papierosowego dymu. Film opowiada o przygodach inspektora zachodnioniemieckiej policji. Półtorej godziny czasu nasiąkniętego seksem i krwią. Trupów — nie policzysz, wymyślne morderstwa układają się w imponujący — doprawdy — bukiet: pistolet, nóż, kastet, karabin maszynowy, trucizna, uduszenie itd. Treść filmu: inspektor policji znajduje na śmietniku wielkiego miasta trupa. Poznaje: to Toni, najpiękniejsze pornograficzne piersi Hamburga. Ale — jak się okazuje, te piersi są jedynym atrybutem kobiecości, bo Toni — to mężczyzna, zabity zaś został dlatego, że zbyt natarczywie, drogą szantażu, domagał się pieniędzy potrzebnych mu na operację, która by uczyniła z niego prawdziwą kobietę... Publiczność wraz z kilkuletnimi dziećmi chłonie wartką akcję... Kiedy choćby tylko przez minutę na ekranie nikt nikogo nie gwałci, nie bije lub nie zabija — rozlegają się przeraźliwe gwizdy. W smudze światła z projektora raz po raz błyskają błędne ogniki — to na widzów z pierwszych rzędów spadają żarzące się niedopałki papierosów.

✲ ✲ ✲

Ale jednocześnie: bileter tylko czyha na moment zawahania się widza — wyjmuje mu z ręki bilet i prowadzi do odpowiedniego miejsca.

Ale jednocześnie: taksówkarz, kierowca wytwornego mercedesa otwiera ci drzwi i żegna się ukłonem po przejechaniu śmiesznie krótkiej trasy.

Ale jednocześnie: czujesz się gościem pożądanym i miłym, kiedy w kawiarni zamawiasz choćby tylko piwo lub coca-colę...

✲ ✲ ✲

Nadmorska promenada w Kasztelu jest pusta i cicha. Okiennice domków zamknięte na głucho. Gmach hotelu „Palace", wyglądający jak biały ogromny żagiel — w hotelu tym mieszkają zazwyczaj polscy turyści — jest opustoszały i cichy. Nikt nie przechodzi aleją smukłych, cienistych cyprysów. Nawet morze jest ciche — i smutne. Do sezonu jeszcze tyle dni...

MAREK WAWRZKIEWICZ

Po łódzkiej premierze filmu „Wesele" odbyło się w Łódzkim Domu Kultury spotkanie dyskusyjne z udziałem licznych osobistości życia społecznego, kulturalnego. Ważną wydała się nam ta impreza z wielu powodów. PO PIERWSZE — jak dotąd, brakowało w naszym mieście szerokich dyskusji, wynikających z wydarzeń artystycznych; Uniwersytet Łódzki zaczyna tę lukę wypełniać. PO DRUGIE — projekcję poprzedził wykład prof. dr STEFANII SKWARCZYŃSKIEJ, członka Polskiej Akademii Nauk, kierownika katedry Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ, bogaty w wiele treści merytorycznych, zwracający uwagę na najistotniejsze treści dramatu Stanisława Wyspiańskiego. PO TRZECIE — po projekcji nastąpiło spotkanie z twórcą filmu, ANDRZEJEM WAJDĄ. Proble matyka narzucona przez prowadzących rozmowę prof. dr BOLESŁAWA LEWICKIEGO i doc. dr hab. STANISŁAWA KASZYŃSKIEGO, a także innych uczestników spotkania oraz „spowiedź" Andrzeja Wajdy, znacznie wykroczyły poza ramy dyskusji o filmie, wnosząc do niej wiele, często kontrowersyjnych elementów ogólniejszej natury.

Pozwalamy sobie przekazać Czytelnikom obszerną, opartą o zapis magnetofonowy, relację z tego spotkania, mając nadzieję, iż będzie ona zaczynem dyskusji o „Weselu" i szerzej — o filmie, teatrze, o sztuce, w wielu środowiskach.

Prof. dr JANUSZ GÓRSKI
Rektor Uniwersytetu Łódzkiego

Uniwersytety, kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, zajmowały się nie tylko nauką, ale także sztuką i kulturą. Wydaje mi się, że problemami sztuki i kultury powinny się zajmować uniwersytety także współczesne. Nasz Uniwersytet Łódzki w dużym stopniu te funkcje spełnia, czego dowodem jest m. in. fakt, że mamy unikalną w skali polskiej katedrę, zajmującą się teorią literatury, dramatu, filmu, telewizji. W ramach katedry tej i innych, chcemy w jak najszerszym zakresie rozwijać nasze zainteresowania dziedziną kultury i sztuki, dążąc do integracji środowiska intelektualnego Łodzi. Wydaje się, że tego typu integracja środowiskowa może mieć olbrzymie znaczenie dla wytworzenia odpowiedniej atmosfery, służącej rozwojowi sztuki i kultury.

Mam nadzieję, że zainaugurowany dziś wieczór dyskusyjny będzie zaczątkiem większej ilości tego typu spotkań, które mamy zamiar organizować.

U PROGU WERSJI FILMOWEJ „WESELA" WYSPIAŃSKIEGO

(OMÓWIENIE WYKŁADU PROF. DR STEFANII SKWARCZYŃSKIEJ)

„Na wersję filmową „Wesela" Wyspiańskiego wypadnie nam spojrzeć dwojako; z jednej strony jako na dzieło sztuki samoistnej, przekazujące właściwymi jej formami wizję poetycko-teatralną Wyspiańskiego, z drugiej jako na dar polskiej sztuki dzisiejszej złożony światu współczesnemu, dar wiodący go ku głębiom naszej historii i kultury, ujętym w kształt arcydzieła".

Ten fragment szkicu prof. dr Stefanii Skwarczyńskiej, najpełniej wyraża zakres jego problematyki. Omawiając strukturę arcydzieła Wyspiańskiego na tle współczesnej mu małej formy dramatu impresjonistycznego i symbolicznego, prof. Skwarczyńska ujawnia istotne cechy dramatu **o którym Backvis, belgijski slawista, powiada, iż nie narodził się on z średniowiecznych misteriów, ani z antyku, lecz z izby sejmowej, z troski obywatelskiej i żaru patriotycznego ...**

Skuteczność formy dramaturgicznej, po którą sięgnął Wyspiański, polega m. in. na celnym rozwiązaniu antynomii wynikających z jednoczesnego wykorzystania i — przezwyciężania poetyki swojej epoki; zaangażowania się tematem i ideą w chwilę historyczną sobie współczesną i — przekraczaniu tej chwili przez uobecnianie przeszłości narodowej oraz wybieganie w przyszłość.

„(...) Owe czynniki antynomiczne (...) lub sploty ich kontynuacji w seriach przeciwstawnych (...) w „Weselu" przenikają się wzajemnie, sprawiając, że każdy jego aspekt jest równocześnie sobą i czymś sobie przeciwstawnym. Że — wbrew, zdawałoby się logice — w tym stopie żaden z nich nie ulega niwelacji, ani przesłonięciu, a wspólnie nie pogrążają się one w chaos. A jednak równocześnie: są takie i są inne, a z tej materii ontycznie i egzystencjalnie chwiejnej i migotliwej w jakości wyłania się świat poetycki jeden i spójny — świat prawdy i czarów, rzeczywistości i złudy".

Bardzo interesująco, szczególnie w kontekście późniejszej kontrowersyjnej wypowiedzi Andrzeja Wajdy, przedstawia się ten wątek wykładu prof. Skwarczyńskiej, w którym autorka mówi o innym, charakterystycznym wyróżniku „Wesela".

— „Obraz jednej chwili wyjętej z biegu czasu, jednej sytuacji, wyjętej z biegu zdarzeń (...) a więc forma sceniczna zasadzająca się fabularnie na statyce. (...) Bo przecież nic się tu naprawdę nie działo, nic naprawdę się nie stało w tych kilku godzinach od północy do świtu (...) Ale przecież owo: nic się nie dzieje i nic się nie stało, zaprzeczenie, zdawałoby się, samej natury tradycyjnego dramatu — prowadzi tutaj do szczytu dramatyzmu. Bo tragedią polskiego społeczeństwa — według diagnozy Wyspiańskiego — jest właśnie to, że nic się nie dzieje, że wolę niepodległościowego czynu pęta bajecznie kolorowy frazes. Tragizm historycznej statyki".

Dalej prof. Skwarczyńska omawia związki „Wesela" z tradycją wielkiego repertuaru narodowego — „Odprawą posłów greckich" Kochanowskiego, „Krakowiakami i góralami" Bogusławskiego, a przede wszystkim z dramatem epoki romantyzmu. Oto jeden z wątków tych rozważań:

„Wstrząsnęło uczestnikami bronowickiego wesela, a nas dotąd zadziwia, zuchwalstwo, z jakim Wyspiański wprowadził swoich przyjaciół i znajomych na deski teatru jako niewydarzone postacie niewydarzonej historii współczesnej. Ale było to tylko spotęgowaniem śmiałości polskiego dramatu romantycznego. Podobnie jak przyjaciele i znajomi Wyspiańskiego oglądali siebie samych na scenie z widowni teatru krakowskiego w widowisku, które powtarzało zdarzenie sprzed kilku miesięcy — tak młodzi przyjaciele Mickiewicza z kręgu filomatów mogli oglądać siebie na theatrum wyobraźni w scenie więziennej „Dziadów Części III". Także ich kat, Senator, Nowosilcow, miał wszelką możność przypatrzeć się sobie w arcydramacie Mickiewicza. Nie inaczej mógł car Mikołaj oglądnąć siebie przez pryzmat „Kordiana" w scenie koronacji i zapoznać się z refleksem na nią ulicy warszawskiej; mógł nadto skonfrontować swoje najtajniejsze myśli z własnymi scenicznymi słowami w dialogu z bratem, wielkim księciem Konstantym. Mógł zobaczyć siebie, także w „Kordianie", papież Grzegorz XVI. — Tak więc Wyspiański, podobnie jak wielcy romantycy, obdarzał żywych ludzi drugim życiem, życiem w literaturze. A raczej może: skazywał ich na to drugie życie(...).

Ale pomiędzy zuchwalstwem wobec współczesnych wielkich romantyków, a zuchwalstwem Wyspiańskiego jest — przy podobieństwie — przepaść. Romantycy obdarzali współczesnych — wielkością; wielkością bohaterstwa, zbrodni, nawet podłości. Była to wielkość z wymiarów Prometeusza lub też Miltonowskiego Szatana. Natomiast Wyspiański skazał swoich współczesnych na — małość, na śmieszną, upokarzającą małość; Gospodarza na safandulstwo, poetów na gadatliwe wielkosłowie, Żyda, Księdza, nawet Czepca na małostkową interesowność. Owo drugie życie, życie w literaturze, niosło żywym ludziom tyleż sławy, co niesławy. Bo siłą rzeczy skazani zostali na pozostawanie w konkretnym życiu w roli siebie samych jako postaci scenicznych. Doszło tu dosłownie do okrutnej teatralizacji życia. Z drugiej jednak strony: czyż dlatego przyszło im dźwigać w codziennym życiu narzut takiej charakterystyki, że potrzebna była ona poecie dla ukazania korzeni współczesnego bezruchu historycznego, czy dlatego, że była ona tylko lub także rezultatem okrutnej wiwisekcji? A zatem czy nie weszła na scenę zdemaskowana ich prawda wewnętrzna, tajona głęboko? Teatralizacja życia — tak, ale także „użyciowienie" teatru, a jeszcze także i deteatralizacja życia. Zdzieranie noszonych na co dzień masek, zdzieranie ich aż do żywej krwi, aż do odsłonięcia w głębi błazeńskiej pustki".

Po wskazaniu na zawężenie się w „Weselu" współczesnych mu poetyk polskiego i europejskiego dramatu oraz na prekursorską rolę Wyspiańskiego w stosunku do praktyki dramaturgicznej XX wieku — od Witkacego po awangardę teatralną na Zachodzie; — po późniejszy ekspresjonizm i surrealizm, prof. Skwarczyńska mówiąc o uniwersalności arcydzieła **„ponad czasem i ponad swoistą stabilnością, jaką jest przykucie do jednej ze sztuk"**, określiła jego szanse filmowe:

„Film? tak, niewątpliwie także film, bo „Wesele" jest naturalną współgrą różnych planów, perspektyw i zbliżeń, montażowych skrótów i przeskoków, fabuły, migawek i sekwencyjnych fug, wyrazistych obrazów realistycznych i zamglonej półprawdy zwidzeń i zjaw".

A szanse wzbudzenia rezonansu u współczesnych nam odbiorców?

— „Każde z tych wcieleń „Wesela" z dzieła różnych sztuk (literatura, teatr, film — przyp. J. K.), **sprosta jego poezji wobec odbiorcy, jeśli odbiorca potrafi je w swojej wyobraźni rozegrać równocześnie w kategoriach form podawczych tych wszystkich sztuk; jeśli chłonąc tekst poetycki ujrzy go równocześnie teatralnie i filmowo; jeśli uczestnicząc w widowisku teatralnym wzbogaci go w wyobraźni o wizję filmową, a pozwoli mu zabrzmieć poetycką migotliwością pełnego słowa, przyswojonego z tekstu; jeśli uchwyci teatralnie w wersji filmowej bezpośrednią, żywą obecność postaci dramatu, które w tekście przywołuje do istnienia tylko czar słowa.**

Mowa tu o idealnym odbiorcy... a więc o odbiorcy takim, jakiego już dzisiaj wychowuje współczesna kultura audiowizualna, kultura, która przezwyciężyła jednostronność zeszłowiecznej kultury przede wszystkim werbalno-literackiej".

Z CZYM WAJDA SYPIA

Z wiernością wobec arcydzieł literatury jest tak, jak z wiernością w małżeństwie. Czasem i człowiek, który niezupełnie jest wierny, czuje, że jest wierny. I prawdopodobnie to jest decydujące. Ja czuję, że jestem w porządku. Możliwe, że ta odpowiedź nie zadowoliłaby Stanisława Wyspiańskiego, ale czuję głęboko, kochając jego utwór, że jestem mu wierny nawet wtedy, kiedy do jego utworu dodaję różne sceny, których nigdy w nim nie było. Ale przecież wierność w tym wypadku musi być jak gdyby wiernością człowieka, który ma odwagę z tym utworem jakby się przespać. Jeżeli nie, to nie trzeba się w ogóle do tego brać. Nie elegancko i niełądnie. Trzeba mieć odwagę sobie powiedzieć, że to jest coś, co ja mogę w jakiś sposób pokonać w naszym wspólnym stosunku. Przepraszam, że tak brnę dalej w małżeństwie porównania, ale przecież to dotyczy wesela. Jest jakieś miłosne zmaganie między człowiekiem, który postanawia przedstawić utwór teatralny czy filmowy, zaproponować widowni — a tym, co jest napisane.

Wszyscy wiedzą, że film to nie teatr; dokładnie nie wiedzą, dlaczego i na czym to polega, ale wiedzą, że jedno to nie jest drugie. W teatrze są same dialogi, w teatrze dużo się mówi. W filmie można różne rzeczy pokazać. Już to pozwala mi skreślić część tekstu, czego jako reżyser teatralny nie miałbym prawa wykonać.

Oczywiście, reżyserzy preparują tekst, nawet w ostatnich czasach więcej preparują, niż reżyserują. Bierze się to stąd, że jeżeli ktoś na przykład weźmie „Kordiana", wytnie koniec, da na początek, początek na koniec, a jeszcze w środku coś zmieni, to krytyka mówi — no, napracował się, widać jakąś koncepcję. Natomiast, jeśli zrobi tak, jak było, to mówią: gdzie jest tutaj praca, gdzie tu w ogóle jest jakaś myśl. Tymczasem myśl jest u samego autora.

W wypadku filmu „Wesele", mimo dużych cięć w tekście, które mogą się wydać brutalne (i nam było żal różnych scen i dlatego w trakcie realizacji jeszcze je pododawaliśmy), wydaje mi się, że myśli Wyspiańskiego byłem wierny.

CZEGO WAJDZIE BRAKOWAŁO

Czego zawsze brakowało mi w „Weselu" — to akcji samego wesela. To przecież jest realne wydarzenie, konkretne zdarzenie.

A tymczasem jak się grywa „Wesele"? Do „Wesela" trzeba mieć dobrych aktorów; tekst jest dobry, to bezsporne, wobec tego aktorzy wychodzą i śpiewają arie. Bardzo pięknie odśpiewa Pan Młody potem Gospodarz, potem jeszcze Panna Młoda, potem jeszcze ktoś tam — i już jest koniec. Natomiast bardzo trudno jest prześledzić

„WESELE" BEZ PLOTEK

samo wydarzenie. Tymczasem film, żeby nawet nie wiem jak poetycki, ma jakąś realność. Trudno sobie wyobrazić w filmie np. umowne kostiumy. W filmie — nawet najbardziej umowne są jakiegoś rodzaju kostiumami realnymi. Jeżeli kostium jest realny, jeżeli ściany są realne, ludzie są realni — toteż i sprawy pomiędzy nimi muszą być realne.

W „Weselu" przeważnie tego się nie reżyseruje; płynie ono ogromnym potokiem, wspaniałą rzeką słów, poezją, która jest w tych słowach.

W moim zaś przekonaniu, im bardziej utwór jest poetycki; tym bardziej wymaga on zrozumienia rzeczywistości, realnej sytuacji, odwołania się do tych strzępów, minimalnych czasem i rozproszonych, realności. Bo tylko wtedy można z tym utworem prawdziwie obcować, tylko wtedy można ten utwór właściwie rozumieć. Inaczej płyniemy, po prostu, na fali poezji i dajemy się unosić, nie bardzo właściwie wiadomo, gdzie.

Zresztą zastanawianie się nad „Weselem" jako nad utworem, który ma konkretną realność, zaczyna się przede wszystkim od „Plotki o „Weselu" Boya. Przechodzi przez najrozmaitsze ewolucje, a także przez określenia Jana Kotta, że to wszystko z wódki. Gdzieś w tym żarciku zawarła się i dla mnie jakaś prawda. Także i wyobrażenia Konstantego Puzyny o tym utworze. Czego innego szukano w „Weselu", kiedy je wystawiano w 1901 roku, czego innego — w 1945 roku, a czego innego dzisiaj i mnie się wydaje, że to jest prawo każdego inscenizatora. To jest nieuniknione.

Krótko mówiąc — gdzieś — jak mówi Tadeusz Konwicki — coś było na rzeczy". Wisiało to w powietrzu, że ktoś zrealizuje takie właśnie „Wesele", w którym będą bardziej realnie powiązane postacie i bardziej realistycznie będzie wytłumaczone wszystko to, co się wydarzyło.

Zwróćcie uwagę, że dopiero teraz zaczyna się grać np. Witkacego jako dramaturga zrozumiałego. Przecież do niedawna jeszcze była to domena malarzy, scenografów, takich półamatorów, którym niby coś tam się śni, coś tam opowiadają. I dopiero pojawiły się pierwsze inscenizacje Macieja Prusa, dopiero musiał się pojawić Jerzy Jarocki ze swoją suchą, okrutną inteligencją, żeby te utwory, pozornie nieobliczalne, nabrały nagle życia i jakiejś prawdy.

Czy można zresztą np. napisać rozważania o „Weselu", nie dokładając żadnych swoich myśli? Cóż to będą za rozważania? Ile razy wznawiamy sztukę teatralną z przeszłości, tyle razy wznawiamy ją dla widowni, która siedzi w danej chwili na sali. To „Wesele" nie ma pretensji do tego, że przetrwa dziesięć, piętnaście czy sto pięćdziesiąt lat. Jest to utwór zrobiony z dokładnym zrozumieniem widowni, której musi dać materiał do rozmyślań.

Na scenie nigdy nie reżyseruje się sytuacji, która jest wokół weselnej chaty. To, że kiedyś, przed laty, wystawiano „Wesele" tak, że widać ten dom z zewnątrz — nic nie daje sprawie. Idzie przecież o to **co naprawdę się dzieje dookoła domu.** A naprawdę dzieje się to, co Andrzej Kijowski napisał w swoim scenariuszu, że zbliża się wojna, że są wojska, że są fortyfikacje, że wszyscy na coś czekają, że jedni czekają na drugich. Sytuacja na zewnątrz może wytłumaczyć wiele z tego, co się dzieje wewnątrz, w chacie.

CO WAJDA MYŚLI O OLBRYCHSKIM

Idąc za tą realnością można też z łatwością podjąć pewne decyzje: co do obsady, co do szczegółów, co do rozwiązania scen, wcale nie będąc tak szalenie oryginalnym twórcą, tylko, po prostu, logicznie myśląc. Jeżeli — zacznijmy od młodej pary — jeżeli myślę o kimś takim, kto jest trochę kabotyński, strasznie dużo mówi, opowiada bez przerwy o sobie, taki jest w sobie zakochany — no to Daniel Olbrychski może, jak nikt, grać taką rolę. Mam iść na ślub. Z kim się pan młody żeni? A, nikt jej nie zna. Tak było przecież wymyślone w oryginale. I w życiu. Znany bardzo poeta, który rozdawał autografy, do wszystkich się uśmiechał, był jednym z najbardziej znanych ludzi w salonach Krakowa, nagle żeni się z kimś nieznanym. Wszyscy biegną, żeby zobaczyć pannę młodą, dowiedzieć, jak to się w ogóle stało. Już z tego wynika, że Pannę Młodą musi grać ktoś nieznany, żeby wesele było dla mnie ciekawe, żeby było w ogóle zdarzeniem towarzyskim. Dlatego Pannę Młodą gra studentka I roku szkoły aktorskiej. No, macie — Olbrychski się z nią żeni, to jest ciekawe. Wszyscy idziemy do kina, to jest jakaś sensacja.

Z tego wynika i dalsza sprawa, mianowicie niedopasowanie tych dwojga ludzi, ponieważ jest to p o m y s ł, a nie rzeczywistość. To nie jest miłość, to jest tylko koncepcja. Wszystko jest wymyślone, nieprawdziwe. I w „Weselu" są małe ślady konfliktu. W pewnym momencie on jej zwraca uwagę, kiedy ona do księdza niewłaściwie się odnosi, lecz zwykle jest to bardzo delikatnie zarysowane. Ale przecież każdy z nas, żyjący parę lat na świecie, wie doskonale, że dopiero rankiem sprawa jest straszna. Kiedy się budzisz. I dlatego ta scena wydawała mi się bardzo istotna, poszedłem w niej po linii prawdy. On się nagle budzi i — kto to leży? z kim ja śpię? Dlaczego? Co to się stało? Aha, wczoraj byłem pijany, ożeniłem się. I te elementy tworzą z utworu zmumifikowanego, utwór realny, żeby nie powiedzieć realistyczny.

Spowiedź Andrzeja Wajdy

KOGO WAJDA CHCIAŁBY OBRAZIĆ

Przywrócenie tej realności, a kino, jak już powiedziałem, właśnie szuka tej realności, od razu daje pewne odświeżenie utworu. Wyspiański strasznie chciał zrobić taki utwór, który by wszystkim „dołożył", który by wszystkich obraził, definitywnie skłócił go ze wszystkimi Polakami. Był zrozpaczony, kiedy nagle zobaczył, że wszyscy złożyli ręce i powiedzieli: to jest arcydzieło, mistrzu, rób z nami co chcesz, kochamy cię nad życie. Niektórzy się obrażali, bo mieli znajomych, rodzinę, ale „normalnie" naród padł na kolana. Jeżeli miałbym powtórzyć przez analogię tę sytuację, wolałbym oczywiście zaproponować państwu „Wesele" dzisiejsze, „na dziś", dla nas, dla Polaków z tego roku. Są jednak pewne utwory, które nie zawsze się rodzą, nie w każdym pokoleniu, to jest zupełnie oczywiste. I tak jak Wyspiański nie był szczęśliwy, że społeczeństwo się zachwyciło, tak ja niezupełnie jestem szczęśliwy, że wam proponuję „Wesele" Wyspiańskiego, a nie mogę wam zaproponować własnego „Wesela". Ale myślę, że są jeszcze jakieś filmy przede mną. Może te filmy będą oryginalniejsze?

GDZIE WAJDA CHCIAŁBY LECIEĆ

Dlaczego stale wracam do pewnych tematów, dlaczego chwytam się tak kurczowo literatury i klasyki?. Bo wydaje mi się ona głęboko oryginalna, wydają mi się te teksty oryginalniejsze, niż cały szereg współczesnych scenariuszy. Jeżeli np. myślę o „Dziadach", o wielkiej naszej literaturze teatralnej, romantyzmie, sądzę, że to są wszystko utwory napisane właściwie dla kina, a przypadkowo grane w teatrze. Dlatego, że nie udowodnicie mi państwo, iż „Dziady" zagrane w teatrze, mogą zmieścić wszystkie piękności i wszystkie doskonałości, które by mogło roztoczyć kino przed naszymi oczami. **Weźcie „Kordiana". Dlaczego to tak marnie idzie, tak powoli; wycinają różne teksty, bo nie mogą nadążyć, ze zmianą dekoracji. A w kinie to nie jest żaden problem. Kordian jest w Londynie, porozmawiał chwilę, odwrócił się i już jest willa włoska. Chwileczkę tam pobył i już jest na Mont Blanc. Stoi n a p r a w d ę w chmurach i nagle zaczyna lecieć. Leci do Polski, leci, leci... To jest wspaniałe. Dlaczego tak ma nie być? Przecież to jest o wiele ładniejsze, nie? A w teatrze Kordian musi wypowiedzieć bardzo dużo słów, musi się strasznie zziajać, spocony cały i nie zawsze te słowa są najpiękniejsze.**

Zastanawiałem się kiedyś nad tym, dlaczego te utwory są tak napisane. Prawdopodobnie Juliusz Słowacki i inni nasi wielcy pisarze widzieli innego rodzaju teatr, może bardziej skomplikowany, może maszyneria działała w nim bardzo intensywnie. Ale dzieła te nigdy się nie doczekały realizacji w tym czasie. Potem teatr zapomniał o maszynerii, zwrócił się w innym kierunku i nagle okazało się, że te sztuki są nie do grania, bo nie wiadomo, co z nimi zrobić. I dopiero potrzeba było XX wieku, żeby weszły na scenę. Ale pisane są one właściwie jak scenariusze, o wiele bardziej niż jak tekst sceniczny. I dlatego wydaje mi się, że mamy prawo, pomijając wszystkie inne argumenty, filmować „Wesele".

Wystarczającym powodem zrealizowania „Wesela" jest choćby fakt, że film może być pokazany tam, gdzie nigdy nie pojedzie teatr, w którym grałby Andrzej Łapicki, Maja Komorowska, w którym grałby Daniel Olbrychski, Marek Perepeczko i inni. Jakim sposobem ci ludzie mogliby zobaczyć takie „Wesele"? Rozumiemy to też jako akcję cywilizacyjną, kulturalną, kulturową. Już to wystarczyłoby, żeby zrobić „Wesele". Żeby mógł je zobaczyć ktoś, kto nie miał możliwości zetknąć się z tym utworem. A myślę, że są jeszcze inne powody...

Oczywiście, ktoś może czytać „Wesele" i nic więcej nie będzie mu potrzebne. Ale takich osób jest bardzo mało. Więcej jest ludzi, którzy oglądają widowiska, czasem brutalne, może i prymitywne, ale i z tego marnego materiału czerpią coś dla siebie. Niektórym widzom nie podoba się, że wiersz w filmowym „Weselu" jest posiekany i brak w nim najrozmaitszych końcówek. Ale bardzo niewielu ludzi potrafi dalej zrymować „Wesele". Kiedyś po wyreżyserowaniu swojego „Hamleta", Laurence Oliver powiedział, że to, co go najbardziej zdumiało, to fakt, że **a d a p t a c j a**, którą pokazał ze swoim scenarzystą, przyjęta została jako oryginał i nikt nie zauważył, że ich „Hamlet" jest tak dalece przerobiony. To jest fakt. Niestety, większość przerobionych utworów bierze się potem już jako oryginał. I my też w pewnym sensie tego dożyjemy, że tak będzie z „Weselem", że będzie przyswojona raczej ta wersja filmowa, bo ona ma swoją siłę; i to, co nas przekonuje do niej, i to, co nas od niej odtrąca — to jest właśnie jej siła. I trzeba będzie prawdopodobnie nowego filmu, czy nowej inscenizacji, która by przywróciła „Weselu" nowe rumieńce życia.

CZYM SIĘ WAJDA ZAJMUJE

Wypytujecie mnie o film, który jest zrobiony, wciągam się w dyskusję, a w ogóle to ja się zajmuję zupełnie czym innym. Tak naprawdę strasznie nie lubię kina. Myślę po prostu, że w teatrze, tak jak ja go widzę (w teatrze oczywiście innego trochę rodzaju, nie z taką sceną, jak ta tutaj i z taką widownią, w którym gra się inne sztuki, i o czym innym jest sprawa, a aktorzy traktują swój zawód jak misję, jak powołanie, zawód, kapłaństwo), następuje dialog pomiędzy widownią i sceną, bliższy, inny kontakt, innego rodzaju porozumienie.

W takim teatrze, jaki prowadzi Jerzy Grotowski. Ten teatr jest, w moim przekonaniu, czymś o wiele bardziej dzisiejszym i — krótko mówiąc — potrzebniejszym niż kino. Deprecjonuję teraz to, co powiedziałem przed chwilą. Ale jest może ważne, żeby ktoś włożył kaloszki, najpierw przeszedł 15 kilometrów, potem wsiadł do jakiegoś pociągu i zobaczył na scenie na własne oczy „Wesele", nawet niezbyt dobrze wyreżyserowane. Żeby było dla niego objawieniem, że jest takie miejsce, gdzie może się zachwycić. Nie mogę wam dzisiaj odpowiedzieć, ale czuję właśnie, że lepszy byłby ten jeden sprawiedliwy, niż te dziesięć tysięcy w kinie. Gubi nas wszystkich to, że wszyscy czytamy broszury i wszystko z tych broszur wiemy.

CZEGO WAJDA NIE CZYTA

A nikt nie czyta książek. Jest coś takiego „broszurowego" w filmie. Przecież myśmy bardzo napracowali się nad tym, żeby to było takie efektowne. Gdyby było trochę mniej efektowne, już by w ogóle nikt nie przyszedł do kina. A tak — to jeszcze liczymy na to, że i artyści są i miga się wszystko, kolorowo i tańczą... Stanisław Radwan robił muzykę miesiącami i masę pieniędzy wydaliśmy. Przyjdą do kina, popatrzą, może coś tam lizną — to jest jak gdyby usprawiedliwienie. Na dobrą sprawę lepiej, żeby przyszli do teatru Grotowskiego, gdzie jest tylko czterdzieści osób, skupienie i atmosfera, tych czterdziestu sprawiedliwych; wychodzą i nagle zabierają ze sobą coś, czego im nikt inny nie może dać.

Czym jest dla mnie teatr — w przeciwieństwie do kina? Kiedyś, gdy zaczynałem pracować w kinie, czułem się jak kosmonauta. Stoi najbardziej nowoczesny aparat, jaki istnieje, robi sam zdjęcia. A dzisiaj patrzę na kamerę jakby z niechęcią, nie przekonuje mnie ona. Jakiś klamot stoi, trochę to jest podobne do aparatu fotograficznego z magnezją, taka maszyna do szycia „Singera" mniej więcej. Nie ma już w tym nic nowoczesnego, w międzyczasie wymyślono już różne ampexy, telewizja się ruszyła kolorowa i ta kamera jest przedpotopowa.

A co teatr zyskał po tej strasznej inwazji środków masowego przekazu i przytłoczeniu nas wszystkich ilością różnych obrazków, które się migają, żeby nas tylko zabawić, rozerwać i odwrócić uwagę od samego siebie? Bo przecież o to głównie chodzi, żebyśmy się nie zastanawiali nad sobą, tylko żebyśmy tak jakoś przepłynęli przez życie. Otóż teatr właśnie — im bardziej się cywilizujemy, jedziemy samochodem gdzieś bez sensu, siedzimy w kinie dwie godziny, żeby z nikim nie rozmawiać; przed telewizją ludzie siedzą, oglądają, głupie, nudne — nieważne, ale nie trzeba mówić — teatr jest jedynym miejscem, w którym człowiek może rozmawiać z człowiekiem. Człowiek jest żywy, nie sfotografowany, nie z celuloidu.

CO SIĘ WAJDZIE JAWI

Jest w teatrze dzisiejszym jakaś wielka odnowa, chęć odnowienia stosunków pomiędzy ludźmi. Teatr jawi mi się czymś od kina o wiele bardziej nowoczesnym, potrzebniejszym. Chciałbym przez to powiedzieć, że wydaje mi się, iż ta elitarna sztuka, sztuka dla niewielu ludzi, może odegrać większą rolę niż te bardzo popularne, działające na szerokie masy. Film przytłacza, czyni ludzi biernymi.

Jakiś student, kiedyś we Wrocławiu, powiedział do mnie: **pan tutaj zrobił mi film „Popioły". Ja tak lubiłem czytać tę książkę, tak mi się podobała, miałem swoją wizję i nagle zobaczyłem film — wszystko jest na odwrót. Zepsuł mi pan całą przyjemność.**

Jest i taki punkt widzenia. Ja go doskonale rozumiem i mimo to robię takie filmy. Dlatego, że są i inne powody. Krótko mówiąc są we mnie najrozmaitsze sprzeczności, czasem przybliżam się do jednej strony, czasem do drugiej. Teraz, jakgdyby, przybliżam się bardziej do teatru, ale nie daje mi to pełnej satysfakcji, dlatego chyba, że zacząłem pracować w teatrach profesjonalnych, w których są zawodowi aktorzy, dyrekcja, kurtyna, gdzie zaczyna się wszystko o 7.15 — wszystko to samo, co w kinie. Może trzeba by innego rodzaju teatru i innego kina. Po prostu innego rodzaju sztuki, która, może dla niewielu, ale stanowiłaby rzeczywistą potrzebę. A niewielu — to nie jest mało, to jest dużo, jeśli reprezentują dostateczną siłę, mają wyobraźnię, czegoś chcą. Dla takich ludzi warto pracować. Nie jest to pogarda dla szerokiej widowni, bowiem człowiek, któremu udało się pozyskać szeroką widownię, nie wyraża się z pogardą o czymś, co jest jego największym sukcesem.

KOMU WAJDA NIE OBETNIE GŁOWY

Pytanie co do aktorów. Byłoby najlepiej, aby obcinać im głowę. Odegrał dobrze, zagrał dobrze, odrąbać łeb i koniec. W rzymskim teatrze tak kiedyś było. Tyle, że ucywilizowaliśmy się trochę i tak myślimy, że jeśli ktoś zagrał dobrze w jednym filmie, to w drugim może zagrać tak dobrze, że wszyscy o tamtym filmie zapomną. Wszyscy żyjemy nadzieją, że aktor w moim filmie zagra tak dobrze, jak w żadnym innym przedtem nie grał. Tak było kiedyś ze Zbyszkiem Cybulskim, i to się chyba trzy razy tak zdarzyło, wierzę, że to jest możliwe. Jeżeli Daniel Olbrychski w dalszym ciągu stoi wam przed oczyma jako aktor z innego filmu, to jest to moja słabość i moja przegrana, a ewentualnie jego, jako człowieka, który powinien to umieć zrobić.

Ale w amerykańskim kinie na przykład jest to zupełnie oczywiste, że Marlon Brando gra stale nowe role i kocha się go za to. Że ktoś jest Marlonem Brando, to że jest Jamesem Deanem, lub innym aktorem. Dlaczego miałbym kogoś eliminować? Dlatego, że jest dobry, interesujący i tylko po to, by pokazać kogoś nieznanego?

DLA KOGO WAJDA ROBI

Nigdy nie robiłem żadnego filmu z myślą, żeby odniósł sukces za granicą. Wszystkie robiłem dla polskiej widowni, ponieważ nawet nie bardzo potrafię sobie wyobrazić widownię, siedzącą w kinie w Miami, albo w Monte Carlo. Byłem tam, ale to jeszcze wcale nie znaczy, żebym siedząc tam na sali, czuł się z tą widownią związany. Filmy, które mi tam pokazują, przeżywam jako Polak, człowiek, który przyjeżdża z Łodzi czy z Warszawy. Tak traktuję też polską widownię, którą rozumiem, do której mam „klucz" i jeżeli czasem próbuję reżyserować coś tam za granicą, to zawsze największy problem i największy niepokój powoduje to — czy rozumiem tę widownię, czy oni myślą tak jak ja. Jest nas wystarczająco dużo, żebyśmy robili filmy dla siebie. A jeżeli te filmy będą dobre, nasze, oryginalne, jeśli będą wynikały z naszej oryginalności, naszej odrębności narodowej, na którą się składa i tradycja i położenie geograficzne i wszystko to, czym my jesteśmy, to wtedy i inni przyjdą i powiedzą: to jest naprawdę ciekawe, nie myśleliśmy o was, że wy możecie coś takiego nam zaproponować.

Kiedyś, na początku mojej kariery, udało mi się zrobić takie dwa filmy, które przeszły przez świat. Ale ta możliwość wcale nie znaczy, że muszę za tym gonić. Bergman pracuje w Szwecji, a jest oglądany na całym świecie dlatego, że widocznie ma w sobie coś takiego, co każe się nam zastanawiać nad jego myślami, nad jego punktem widzenia. Czasem i nasze filmy pokazują się na świecie. Czy ten tak, czy nie? A jeżeli nie — to co? Czy to oznacza, że nie trzeba było robić „Wesela"?

Do druku przygotował:
JERZY KATARASIŃSKI

ZAANGAŻOWANIE NAJISTOTNIEJSZE

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Dalszy ciąg ze str. 1

po komunistę Dembińskiego. Byli to ludzie żarliwi, czyli zaangażowani; dali tego świadectwo swym życiem.

Cóż się kluło między tymi biegunami?

Kiedy wróciłem do kraju w 1956, niepewnie stąpałem między tymi poblaskami różnych stosów. Spotkałem Andrzejewskiego na premierze jego „Winkelrida". To już był autor książki **„Partia i twórczość pisarza".** Spytałem: **„To tak?"** Wyprostował się: **„To jest moje prawo".**

Przyjąłem te słowa ze zrozumieniem. Kiedy w kilka lat potem w konkursie na najlepszą książkę padło moje **„Ziele"** po **„Popiele"**, który znalazł się na pierwszym miejscu, proszono mnie, abym zabrał głos, gdy Andrzejewski będzie otrzymywał nagrodę.

Biorąc asumpt z jego powiedzenia **„rodzina moich książek"**, powiedziałem, że nie jest to rodzina **„Ojca Wirginiusza".** Tam ojciec Wirginiusz nakazuje: **„cicho dzieci, cicho sza, róbcie to, co i ja".** Dzieci **Andrzejewskiego** — jego książki — nie słuchają ojca, każda wydziera się innym głosem.

Miałem przed oczyma twórcę wdanego w sprawy rodu człowieczego do szpiku kości, którego wloką, acz bezwolnego, erynie zaangażowania.

Ale erynie (zwane też przez Rzymian furiami) miały w ręku nie tylko pochodnię zażegniętą u odległego stosu. Jak głosi mitologia, w drugim ręku trzymały węże. Dla ich przebłagania nazywano je Łaskawymi (Eumenidami). Ale czegoż tak bano się tych angażownic, że aż w ofierze im składano... czarne owce?

We wspomnianej książce („Partia i twórczość pisarza") pisał Andrzejewski:

„Dosięgnijcie waszą ostrą bronią kułaka i spekulanta, szpiega i dywersanta, amerykańskiego podżegacza i neohitlerowca. Odsłońcie zawiły mechanizm kułackiej postawy, kułackiego wyzysku, jego perfidne zasłanianie się chłopem mało- i średniorolnym. Ukażcie całą ostrość przeciwieństw, pokażcie wielkość naszych czasów".

Leon Pasternak „wyprawiający hałasy" na piętrze socrealistycznym tak oto w wierszu **„Do eskapisty"** czepiał się mieszkającego nad nim wybitnego pisarza, który był przecież **„spokojny, nie wadził nikomu"** i niewątpliwie wzbogacał kulturę polską:

„Eskapisto wytworny, na nic twe pisanie,
Na nic nadzieje twoich adherentów,
Ani jedno zdanie z ciebie nie zostanie,
Całe twe pisarstwo — psucie atramentu.

Może kiedyś jedynie wspomną gdzieś w przypisach,
Żeś przeżuwał antyk (aż się przeżył talent),
Żeś się do herosów starożytnych przyssał,
Na współczesnych (większych) nie zważając wcale.

Dziesięć lat już ta Polska cięgiem ciebie pieści,
Dziesięć lat już ją niszczysz, kulturalna stonko,
A ty żebyś o niej choć coś bąknął, pies ci...
Rozumiem. Nie możesz. Bobyś się zająknął.

A przeżyłeś lat dziesięć, pyszny eskapisto,
Bo cię „ruski Wańka" od śmierci wybawił.
A ty żebyś choć o tym, choć słóweczkiem pisnął?...
Rozumiem. Nie możesz. Bobyś się zadławił.

„Przegląd Kulturalny" z dnia 1. IX. 1955 r.

To były takie socrealistyczne solo-tańce (hopaki). Na moją dolę przypadł taniec zbiorowy soc- i polrealistyczny, zwany kontredansem przez hrabiów i kadrylem przez gorzej urodzonych.

Pierwsza figura tego kontredansa mojej młodości rozegrała się jeszcze przed wojną, kiedy **„Sztafeta"** (o gospodarce dwudziestolecia) została zakazana w wojsku. Wysypano mi szereg zarzutów, bo napisałem, że zbudowano lekkomyślnie zaporę rożnowską na podglebiu przepuszczalnym; szynę zbiorową elektryczną cztery lata za wcześnie, co jest wyrzuceniem 20 milionów złotych na konserwację; trzynaście siodeł „Polminu" w szczytach, co zaprzepaszcza złoża naftowe Jaszczni i Męcinki bo zdradzam tajemnice wojskowe rewelacją, że linia średnicowa jest zbyt wąska, udaremnia przewóz specjalnego sprzętu itd., itd.

Major, który mi dawał te wyjaśnienia, stuknął ręką w rozdział **„Po co koza rogi ma?":**

— Panie, przecież to o robotnikach. Czy pan uważa, że możemy żołnierzowi insynuować, że robotnicy mają bóść tymi rogami? A jeszcze i motto z Pisma świętego: „Nie zawiążesz głowy wołowi młócącemu". I już zaraz na początek rozdziału: „Dziesięć milionów ludzi na samej roli nie dojada i niedopracowuje. Dziesięć milionów ludzi na samej roli, bez miejskich urzędowo zarejestrowanych, jest materiałem martwym, którego nie udźwignie-my".

— A te alokucje pana do wolności — stuknął major w epilog „Sztafety" — do wolności, do której mamy dążyć w następnym dwudziestoleciu? Czy pan chce, żebyśmy pouczali żołnierzy, że teraz wolności nie ma?

Figura druga kadryla nazywała się „szufladki".

W Stanach Zjednoczonych dochodziły mię wieści, że soczaangażowańcy i mnie dopadli.

Kufa tych ataków rozpukła się w 1952 r. kiedy **Sławomir Mrożek** poświęcił **„Sztafecie"** cztery kolejne artykuły pod smakowitym tytułem **„Zbrodnicze tezy".** Inni trzej autorzy, bardzo teraz znakomici, kolejno umieścili całe studia. Jedno zatytułowane **„Mokra robota"**, drugie **„Wielki łgarz"**, trzeciego tytułu już nie pamiętam, ale zapamiętałem, że w zamian za obietnicę protekcji miałem wyłudzić od ubogiej nauczycielki pięć złotych za moją broszurę „COP", kosztującą dwa złote.

Najzabawniejsze, że ci wszyscy autorzy zwalczali rzekomy panegiryzm **„Sztafety"** cytatami zaczerpniętymi... z tejże „Sztafety" („sam przecie Wańkowicz przyznaje...") z gorliwością nie mniejszą, jak ta, którą wykazał przedwojenny major.

Figura trzecia na zmianę pokrealistycznego kadryla nazywała się „chassé-croisé" i polegała na zmianie stanowisk, w czasie czego tancerze mijali się, przechodząc na przeciwne strony. Figura ta nastąpiła w chwili mego powrotu do kraju.

Przed moim powrotem do Polski, Stahl, zatrudniony w emigracyjnej propagandzie, z entuzjazmem wydawał przekład włoski mojej **„Rodziny Korzeniewskich"**, Zygmunt Nowakowski wysławiał **„Monte Cassino"** jako **„karmazynowy poemat, do którego nikt, tak jak Wańkowicz nie jest powołany"**, Bielatowicz pisał, że jest to **„księga najautentyczniejsza, zbudowana z cegieł, z których każda była ważona i opublikowana. (...) Wańkowicz wszedł do Hedesu wojny i spojrzał z bliska w twarz Charona na wodach śmierci".** Nowojorski **„Nowy Świat"** rozwodzi się na mój temat: **„Człowiek, który patrzy za miliony"** (jeden z tytułów); **„Kronika"** (pismo w NRF) opływała w dytyramby na temat „Monte Cassino". Po moim powrocie do kraju Nowakowski napisał, że „Monte Cassino" rozdałem w treści, by więcej zarobić, Bielatowicz, że **„jest to książka, jak mały Jasio widzi wojnę"**, a Stahl, że **„w krajowym wydaniu jakiś politruk podopisywał ohydną polszczyzną radzieckofilskie ustępy"** (ani jedno zdanie nie było dopisane, nawet przeze mnie — przyp. M. W.) **„Kronika"** nazwała **„Ziele na kraterze"** dziejami wódeczki, a **„Nowy Świat"** informował, że prosto z dworca w Warszawie zostałem zawieziony na odczyt w Stowarzyszeniu Dziennikarzy, po którym wręczono mi klucz do mieszkania i kontrakt na 10.000 zł miesięcznie. Ale moje wiernopoddańcze wypowiedzi miały być aż tak żenujące, że nawet prasa komunistyczna nie zdecydowała się ich powtórzyć. To wyliczanie mógłbym przedłużać.

Figura czwarta tego zbiorowego tańca nazywała się „galopka". Zaczęła się w socrealistycznym kadrylu, kiedy wróciłem do kraju. Witano mnie z równie niebezpiecznym entuzjazmem, jak w figurze „szufladki" — z obrzydzeniem. Potem tam różnie bywało, ale w chwili obecnej **Mrożek** (z którym już solo zatańczyliśmy „chassé-croisé" na miejsca pobytu) złożył na moje ręce wyrazy autokrytyki, a **autorzy „Wielkiego łgarza", „Mokrej roboty" i ten trzeci, co pisał o tej dającej łapówkę nauczycielce** (i ten czwarty, i ten dziesiąty) **popisali o mnie tak miłe recenzje, że byłby wielki ubaw je skonfrontować, gdyby nie to, że w gruncie rzeczy ich nie potępiłem, że w gruncie rzeczy ich rozumiem i że wszyscy z wyjątkiem eksterytorialnego Mrożka zjadają u mnie kołduny i zapijają nalewką „trisz divinis".** To nie jest cynizm, proszę państwa. Ben Akiba stwierdzający z wyrozumieniem, że „wszystko to już było", nie był cynikiem. I nie był cynikiem La Fontaine, patrząc na promienie przełamujące się w krysztale.

☆ ✻ ☆

Świeca więc Latimera nieraz poczyna kopcić. I na wszelkich szerokościach losu ludzkiego.

Pisałem już o socrealizmie i polrealizmie. Na ich obszarach wyeksperymentowałem, jak składnie w rękach Erynii pochodnia jest substytuowana wężem.

Tego kopcenia pochodni obawiają się pisarze. **„Zakładanie z góry zaangażowania społecznego** — pisze do mnie Stanisław Dygat — **zawsze wydawało mi się czymś podejrzanym. Fakt, że żyję wśród ludzi, że nie są mi obojętni, wzruszają mnie lub gniewają, jest zaangażowaniem społecznym".**

Takiego zaangażowania nie uniknie żaden pisarz wartościowy.

Pisarz nie jest socjologicznie do pomyślenia bez czytelników, musi mieć czytelników, znaczna część jego działalności musi odbywać się publicznie. Zauważmy, że pamiętniki pisarzy niemal zawsze są pisane „przez okno".

Pisarz pragnie obcować z czytelnikiem; nawet najbardziej abstrakcyjni i trudni poeci radzi są zakomunikować choćby tylko: **„widzicie, jak trudne są moje poezje".**

Pisarz nosi w sobie chęć zmierzenia się nie tylko z czytelnikami, ale i ze sprawdzianem czasu. Dlatego Camus pisze, że **„sztuka nie może być monologiem, musi być dialogiem artysty z przyszłymi pokoleniami".**

W tym dialogu żadna instrukcja nie zastąpi odpowiedzialności. **Lovell** pisze:

„Sprawę obwarowuje wiele zastrzeżeń. Liczy się i wybór tematu, i jego rezonans społeczny, i trafność przedstawienia procesu opisywanego, i jego charakter — wsteczny lub progresywny — i wreszcie — dążność do przedstawiania układów zamkniętych, statycznych, lub przeciwnie — dynamicznych, rozwojowych. Ale i to jeszcze nie wszystko: a gdzie owo umęczające balansowanie na granicy „sumienia obywatelskiego" i „sumienia ideowego", gdzie kryterium rozwagi, ale równocześnie śmiałości i mocnych przekonań?".

Lovell zdaje się zapominać, że zaangażowanie jednostki nigdy nie będzie niemylne. Że istotnie twórcze zaangażowanie może być budowane tylko... przez kolektyw starć. Jedyne, co się liczy, to szczerość zaangażowania i poziom. Reszta należy do samoregulatorów.

Niezapomnianego prof. **Stanisława Kościałkowskiego** poznałem w Teheranie. Był w stanie skrajnego wyczerpania, leżał w łóżku, mimo to do późna w noc zapamiętale z nim dyskutowałem na temat zim obu nam drogich. Ale już mi się rysowała logika rozwiązań, które miały nadejść.

Miałem wyrzuty sumienia z powodu swej ekspansywności. „Advocatus diaboli" nie należy do rzędu miłych causerów. A już co najmniej należało oszczędzić wynurzeń, przy obolałościach emigracyjnych, aż ekstrawaganckich, człowiekowi choremu i niezmiernie przywiązanemu do kresów.

Poszedłem do niego nazajutrz z mocnym postanowieniem, aby zatuszować przykrość, której byłem przyczyną.

Wyciągnął do mnie z dobrym uśmiechem swoją książeczkę. Zdaje się, że to była broszura informacyjna o Persji.

— Znam to — powiedziałem.

— Idzie o dedykację.

Ale to nie była dedykacja, to było — rozgrzeszenie:

„Ustosunkowanie się nasze do rzeczy jest niejednokrotnie ważniejsze, cenniejsze moralnie od rzeczy samej... Więcej na pewno jest warte zdolne do poświęceń, do ofiary, do zaparcia się siebie umiłowanie wielkiego chociażby błędu niż małostkowe, egoistyczne, wygodne i nieskłonne do wysiłku, do ofiarności, do pokonania siebie, zgoła letnie posiadanie choćby największej, najświętszej prawdy".

Wracając do Lovella: w gąszczu jego zastrzeżeń pisarz się gubi, jeśli nie weźmie sprawdzianów najprostszych. Ukażą mu one, jak z dna losu ludzkiego podnoszą się sprawy pierwotne, niczym nie przyćmione. Ten prazew spraw nie przyćmionych stosowaną dialektyką był tęsknotą ludzką po wszystkie czasy: **„Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, żeś te rzeczy zakrył przed mądrymi i roztropnymi"** (św. Łukasz, X, 21).

Instynkt jest ważnym czynnikiem, do którego tęsknią ewangeliści wszelkich maści i wszystkich czasów.

„Największą trudność budzi przyjęcie tego terminu (zaangażowania — przyp. M. W.) w sztuce — pisze Kijowski — wszak jest ona dziedziną, w której cnotą jest to, co w innych dziedzinach jest winą. Wszak regułą jej jest niewierność regułom, a jej porządkiem stwarzanie porządków wciąż nowych. Każde dzieło jest stwarzaniem świata od podstaw, każda metafora ustala nowe, nie znane czy nie dostrzegane dotąd związki rzeczy, każdy pomysł literacki jest wykroczeniem poza konwencję. Zatem — odpowie artysta — „zaangażowaniem" artysty jest wierność tej właśnie zasadzie, lojalność wobec sztuki, która ma własne prawo nadrzędne, a tym jest poszukiwanie, wybór, niepokój; ma ona własną etykę, etykę odwrotną, etykę niewiary, niekonsekwencji".

Najwartościowsze jest więc zaangażowanie „z siebie". Wówczas darowujemy pisarzowi dewiacje, wyboczenia, skrajności, jednostronności — jeśli tylko rozumiemy, że rodzą się one z prawdziwego musu wewnętrznego. **Andre Gide** pisał: **„Kiedy przestanę się oburzać, znaczy to, że się starzeję".**

I dopiero zaangażowanie istotne daje przywilej, wielki przywilej pisarzowi — na wyrażenie swoich pasji. **Libelt,** którego pisma są teraz zapoznane, a który był lekturą obowiązkową w tajnych kołach samokształceniowych za moich uczniowskich czasów, tak ze swojego stopnia zaangażowania (uczeń Hegla, uczestnik powstania 1831, przewodniczący Centralizacji, współautor manifestu Rządu Narodowego w Krakowie, skazany na karę śmierci z zamianą na 20 lat więzienia) pisał o „grzeczności":

„W zawodzie publicznym grzeczność jest słabością, a stać się może nawet upodleniem. Ludzie w polityce grzeczni są jak muły z bojaźni oślicy i z konia ambicji spłodzeni, do rozplenienia żywota narodowego nieprzydatni; są jak rzezańcy politycznć, którym dobrze seraj sułtański powierzyć, ale nie sprawę publiczną".

Wacław Nałkowski, człowiek wielkiej odwagi, który jako geopolityk nie zawahał się narazić opinii teorią, że Polska jest to istm wąski między ocenami wschodu i zachodu na spłukanie skazany, który odznaczał się bezwzględnymi, ale nie demagogicznymi bojami z filisterstwem, napisał całą rozprawę „Skandale jako czynnik ewolucji".

F. de Rochefoucault, libertyn, rokoszanin, moralista, stwierdził, że, **„Le meilleur moyen de n'etre estime de personne est de vouloir plaire a'tous".** (Najlepsza droga, by cię nie szanowali, to gdy się chcesz wszystkim podobać).

Ale tak mieli prawo mówić wielcy zaangażowańcy, a nie napuszczeńcy.

Bukowska słusznie mówi, że tak pojęte pisarstwo „nie powinno pociągać za sobą odsunięcia się pisarzy od wszelkich spraw publicznych. Właśnie tworząc literaturę tylko pośrednio zaangażowaną w problematykę współczesną, należałoby dać społeczeństwu pewną kompensatę w czynnej postawie wobec aktualnie dziejących się spraw zarówno w kulturze, jak i w innych obszarach zainteresowań. Tak to przynajmniej jest praktykowane przez pisarzy w wielu krajach, zupełnie niezależnie od panującego tam ustroju. W Polsce taką postawę reprezentują np. Putrament i Wańkowicz. Gdyby była ona bardziej u nas popularna, nie pisano by dziś artykułów o entropii i sprawy przyjęłyby o wiele lepszy obrót".

Mówiąc nawiasem, **Putrament** ma o tyle cięższe zaangażowanie, że w mniejszej mierze może je brać z siebie, bo go krępuje obowiązująca linia.

Nie znaczy to jednak, by nasze zaangażowania nie znajdowały punktów stycznych.

— Jeśli znajduję z tobą wspólny język — mówiłem do przyjaciela—komunisty — to przy moim relatywizmie nic dziwnego Ale ty ciężko się nadajesz do tego.

— Ale nie jest to niemożliwe, bo obaj stąpamy po ziemi. Są zaś tacy, którzy uważają siebie za komunistów dlatego, że podążają po naszej linii... płynąc w powietrzu. W istocie rzeczy więc nasze linie nigdy się nie zetkną. Podczas kiedy twoja, meandrując po ziemi, raz po raz się na naszą prosto wytyczoną linię natyka.

— No tam... prosto wytyczona — odciąłem się. — I wy meandrujecie, tylko amplitudy skrętów waszej doktryny muszą być szersze jak moje. Tu powiem tylko pozorny paradoks: pisarz bywa apolityczny wskutek zbyt silnego zaangażowania. Pisarza pasjonują zdarzenia polityczne i politycy, jako drobinki tych zdarzeń. Ale zimną niechęcią przejmuje go myśl, że mógłby pisarstwo połączyć z czynną polityką. To by zmniejszało jego istotne zaangażowanie w procesach, które go pasjonują. Bo pasjonuje go generalna chemia tych procesów, a nie aptekarska doraźna receptura.

W chwilach nagłych tak od pisarza jak od każdego obywatela wymaga się, aby rzucił swoje normalne zajęcie i zajął ze swym piórem miejsce na linii ognia. Ale po nagłej potrzebie zostają przy wojsku powołani, a zmobilizowanych obywateli zwalnia się do ich pracy.

„Conrad i Saint-Exupéry — pisze Roger Caillos — byli w organizmie społeczeństwa żywymi siłami. Stąd też ich sztuka posiada wyjątkową moc promieniowania. Żeby wzięto na serio ich twórczość, żeby uznano wagę ich myśli — co było zresztą procesem długim i niełatwym — nie potrzebowali zgłaszać się do biura werbunkowego. Byli zaangażowani od pierwszego dnia, zanim jeszcze zaczęli pisać. Nie musieli oddawać swego talentu w służbie jakiejś sprawy, żeby nie uważano ich za niepoważnych i nieodpowiedzialnych. Każdą napisaną stronicą, z bliska czy z daleka, służyli jednemu dziełu, wiekopomnemu i niezniszczalnemu, w którym luzują się następujące po sobie pokolenia i dla którego pracowali już dawno w inny sposób, jeden na mostku kapitańskim, drugi przy sterach samolotu, podobnie, jak tylu anonimowych pracowników".

BOGDA MADEJ

Wiele hałasu, o co?

Pamiętamy wszyscy walkę, jaką toczyła piłkarska jedenastka Łódzkiego Klubu Sportowego pod koniec ubiegłego sezonu piłkarskiego. Była to walka o być lub nie być w pierwszej lidze. Sama zadawałam wówczas pytanie na łamach „Odgłosów": spadną czy nie spadną? Nie spadli. Pozostali w pierwszej lidze i wszystkim wydawało się, że pytanie to będzie nadal aktualne, przez cały bieżący sezon. A tu jaka miła niespodzianka.

Pamiętamy jak jedenastka ŁKS powoli pięła się do góry w ligowej tabeli, aby przez krótki, bo krótki czas stać się nawet jej liderem. Pod koniec jesiennej rundy uplasowała się na wcale niezłej, środkowej pozycji. Znakomity punkt wyjścia do wiosennego startu w ligowych rozgrywkach. Teraz — mówili między sobą kibice i sympatycy piłkarzy ŁKS — tylko dobrze odpocząć, a potem solidnie wziąć się do treningu i wszystkim nam — uważnie śledzącym losy tej jedenastki — wydawało się, że wiosną nie powinno być gorzej. Widzieliśmy przecież, co zaważyło zdecydowanie na ostatnich udanych występach piłkarzy ŁKS.

Na przełomie sezonu zmienił się trener. Prowadzenie drużyny objął **Paweł Kowalski** — asystent poprzedniego trenera. Fachowcy wyrażają się o jego poczynaniach z uznaniem, na jego korzyść przemawiają wyniki, jakie osiągnęli piłkarze ŁKS, pozycja jaką zajęli w ligowej tabeli. Wydawało się więc, że trzeba teraz tylko utrzymać trenera, stworzyć mu właściwe warunki pracy i możemy być spokojni o dalsze losy piłkarzy Łódzkiego Klubu Sportowego.

I oto nagle sensacyjna niemal wiadomość. Paweł Kowalski wyjeżdża trenować zagraniczną drużynę. Na jego miejsce przychodzi trener narodowej reprezentacji — **Kazimierz Górski.** Dlaczego? Skąd ta zmiana?

Propozycję wyjazdu za granicę Paweł Kowalski otrzymał jeszcze wówczas, kiedy był asystentem poprzedniego trenera piłkarzy ŁKS. Taka jest nieoficjalna wersja tego wydarzenia.

„Z zamiarem przejęcia funkcji trenera poza granicami naszego kraju — oświadczył Paweł Kowalski na konferencji prasowej, a wypowiedź cytuję za „Głosem Robotniczym" — **nosiłem się już od pewnego czasu i aby nie działać na zasadzie zaskoczenia, lecz odwrotnie — dać klubowi czas na zakontraktowanie innego szkoleniowca na moje miejsce, zapoznałem zarząd ze swoim zamiarem. Zastrzegłem naturalnie, iż tak długo pozostanę na swym posterunku, jak wymagać tego będą interesy klubu, związane z przygotowaniem drużyny do ligowego sezonu i prowadzeniem jej podczas rozgrywek rundy wiosennej".**

Kazimierz Górski — jak sam to oświadczył — od dłuższego czasu starał się związać z którymś z klubów sportowych, czemu sprzeciwiał się Polski Związek Piłki Nożnej, argumentując swoją decyzję faktem, że obowiązki trenera reprezentacji narodowej są wystarczająco czasochłonne. W końcu jednak PZPN wyraził zgodę i stąd umowa z Łódzkim Klubem Sportowym.

Przez pewien czas w opiniach panowało zamieszanie. Jedni utrzymywali, że Paweł Kowalski odchodzi, a Kazimierz Górski przychodzi na jego miejsce. Było w tych opiniach trochę żalu, że ŁKS rezygnuje z trenera, który włożył wiele wysiłku w prowadzenie drużyny i w tak krótkim czasie osiągnął wraz z nią dobre wyniki. Były wątpliwości, czy w tym posunięciu klubu nie ma zbytniej lekkomyślności, czy nie jest to zamiana dla zamiany Były podejrzenia, czy nie jest to działanie na szkodę młodego, rzutkiego trenera. Było też wiele troski i sympatii dla piłkarzy ŁKS, a zarazem wiele uznania dla trenera tej drużyny.

„Nareszcie jasna sytuacja" — napisał „Dziennik Łódzki" informując, że piłkarze ŁKS będą mieli dwu trenerów: Pawła Kowalskiego i Kazimierza Górskiego. Jasna? Jak dla kogo. Dla mnie nie. Zbyt wiele hałasu zrobiło się wokół jedenastki ŁKS i jej trenera i jak na razie wygląda mi to na niejasny kompromis. Na coś, co w zbiorach przysłów ludowych zapisano jako „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek". Na razie hałas wokół piłkarzy ŁKS ucichł, ale wątpliwości pozostały.

Czy Paweł Kowalski istotnie zamierza wyjechać z kraju, aby prowadzić drużynę za granicą? W rozmowie z nami powiedział, że jego obecny wyjazd nosiłby charakter prywatny. I o takim wyjeździe poinformował klub. Publicznie jednak przyznał, że nosił się z zamiarem wyjazdu — powiedzmy — służbowego, w każdym razie o charakterze zawodowym. Czy nadal ma taki zamiar, a tylko dla interesów klubu odkłada go na później? Jeśli tak, to zrozumiała jest podwójna obsada trenerów. Kazimierz Górski, który od kilku lat nie pracował w żadnym klubie, musi się do tej pracy trochę i przyłożyć i wciągnąć. Istnieje przecież poważna różnica między pracą trenera klubowego a trenera kadry.

Kazimierz Górski pozostał nadal trenerem narodowej reprezentacji piłkarskiej. Wprawdzie mówi się, że obecny system przygotowywania piłkarzy reprezentacji narodowej nie przeszkodzi mu w pełnieniu obowiązków trenera koordynatora w ŁKS, a podczas jego nieobecności w Łodzi drużynę będzie prowadził Paweł Kowalski, którego umiejętności trener Kazimierz Górski wysoko ceni. Ale wydaje się, że taka sytuacja nie może potrwać długo.

A może — zastanawiali się kibice — powołanie Kazimierza Górskiego na trenera piłkarzy ŁKS jest wyrazem braku zaufania do umiejętności Pawła Kowalskiego? I trudno odmówić słuszności takim rozważaniom. Dla mnie na przykład istotna jest odpowiedź na inne pytanie: na czyje konto będziemy zapisywać ewentualne sukcesy lub potknięcia piłkarzy łódzkiej drużyny?

Wyraźnie przejaskrawiam sytuację, aby pokazać, do czego prowadzi niedopowiedzenie niektórych spraw. Gdybyż to losy jedenastki piłkarskiej były tylko sprawą klubu — to mniejsza o nieporozumienia. Gdybyż to sprawa Pawła Kowalskiego i Kazimierza Górskiego była tylko ich prywatną sprawą, to również mniejsza o to. Jest to jednak, i do tego nas przyzwyczajono, sprawa ambicji sportowych łódzkich kibiców, łódzkiego społeczeństwa, dla którego piłkarze ŁKS stali się niejako sztandardową reprezntacją miasta.

Czy mamy więc znów martwić się, co będzie dalej z ŁKS? W dziejach różnych klubów znamy takie przypadki, kiedy zmiana trenera, nieporozumienia w drużynie czy klubie ujemnie odbijały się na przebiegu sportowych zmagań. Więc nie dziwmy się, że i w przypadku piłkarzy ŁKS interesujemy się wszyscy ich przygotowaniami do wiosennych spotkań pierwszoligowych. **Mamy wprawdzie nadzieję, że te wszystkie starania przyniosą spodziewane efekty. Mamy jednak wątpliwości, czy potrzebny był wokół tego cały ten niezdrowy szumek. W piłce nożnej liczą się przede wszystkim strzelone bramki.**

GRAFIKA: *Henryk Płóciennik* — *Andrzej Kabała* — *Jan Łukasik*

Dreszczowiec

W tym samym dniu, kiedy ten numer „Odgłosów" ukaże się w kioskach, na ławie oskarżonych zasiądzie drab ponury, furman nie tylko z zawodu, lecz i z charakteru, niejaki Wacław Zakrzewski ze Zgierza. Zbieżność nazwiska z nazwiskiem słynnych morderców rodziny Lipów jest oczywiście przypadkowa. Ale przypadkiem już nie jest, że po obejrzeniu reportażu w telewizyjnych „Kontaktach" z procesu tamtych morderców, nasz oskarżony powiedział:

Żałuję, że ich nie znam osobiście, dużą wódkę bym im postawił za taką dobrą robotę".

Jak to nigdy nie wiadomo, co się komu może podobać, co komu może imponować. Cała Polska była wtedy wstrząśnięta ohydą kieleckiej zbrodni, a temu człowiekowi czyn tamtych bardzo przypadł do gustu. Wódki, co prawda, z nimi nie zdążył wypić, lecz nie wykluczone, że jeszcze będą razem biesiadować, być może w piekle, ponieważ Zakrzewski kupił wówczas pół litra z tym, że wręczył je swej przyjaciółce, pracującej jako salowa w zgierskim szpitalu, Krystynie W. Miała ona dosypać do alkoholu cjanku potasu i poczęstować tym cocktailem swoją poprzedniczkę, która stała się ostatnio już zbyt natrętna, gdyż ciągle domagała się od Zakrzewskiego alimentów na nieślubne dziecko. Ta jednak zamiast degustacji dokonała denuncjacji, więc pół litra zostało. Nie wypite do tej pory posłuży jako dowód rzeczowy na rozprawie sądowej. Krystyna W. zamiast bowiem udać się ze swą rywalką za Zgierz, na rozstajne drogi, do parowu na piknik, jak jej polecił Zakrzewski, udała się na milicję. Cały koncept furmana diabli wzięli. Głowy do myślenia to on nigdy nie miał, raczej pięści do bicia, a jak już sobie raz umyślił, że najbardziej niezawodnym sposobem na uchylenie się od płacenia alimentów — to otruć tę, co pieniędzy się domaga, taki szatański plan skombinował, że wydawać by się mogło, iż przez całe życie nic innego nie robił, tylko sprzątał z tego świata ludzi sobie niesympatycznych.

Oprócz butelki z wódką do rozpuszczania w niej cjankali wręczył Krystynie W., także rękawice do zatuszowania linii papilarnych, pantofle do zmylenia śladu i naftę do wykołowania ewentualnej pogoni.

„I polać ją jeszcze po wierzchu, tak, żeby śmierdziało tam" — przykazał na zakończenie.

Po wykonaniu zadania zgierska wersja Lukrecji Borgii powinna wsiąść w podmiejski tramwaj i udać się do Łodzi pod wskazany adres, gdzie dla zapewnienia sobie alibi miał przebywać inspirator tej posępnej imprezy. Ciężko wystraszona niewiasta zawiodła jednak kompletnie. Zakrzewski zresztą nigdy do kobiet szczęścia nie miał. Odpłacał im się z nawiązką. Najłatwiej sobie radził z żoną i córkami. Miał przecież w swoim pokoju gruby łańcuch przymocowany do ściany. Jak stawały się nieposłuszne i krnąbrne, zakuwał je w ten łańcuch i batożył, aż skruszały. Bywało, że posługiwał się i butem, a czasem wolał zwyczajnie nóż do gardła lub piersi przystawić. Repertuar tortur miał urozmaicony i kobiety nie mogły narzekać na monotonię pod tym względem. Kiedy był wyjątkowo niezadowolony, wtedy obcinał córkom włosy do skóry.

Trwało to prawie ponad 10 lat. Zastraszone, maltretowane kobiety cierpiały w milczeniu. Pomne, że ojciec jego w przystępie szalonego gniewu zabił swą żonę, a sam się powiesił, znosiły wszystko w pokorze, nie chcąc doprowadzać do ostateczności. Domowy tyran cigle groził, że je zabije, lub okaleczy. W końcu przecież uciekły z tego domu, który przypominał raczej obóz koncentracyjny. Zatrudnił wtedy Zakrzewski wyrobnicę, w którą orał bez litości. orał dosłownie, zmuszał ją do tego, by ciągnęła pług przy podorywce. Z tą kobietą miał później dziecko, którego się wyparł, motywując to w sposób wyjątkowo prymitywny tym, iż przed snem wciskała mu owa kobieta w usta pomarańczę, więc był oszołomiony i nie wiedział co czyni.

Gdybym pracował w piśmie damskim lub sensacyjnym, posypałbym tu tytułami w rodzaju: **„Potwór z łańcuchem", „Furman — sadysta", „Umęczone kobiety w szponach nędznika"**, lub **„Średniowieczne tortury w Zgierzu".** A tak powiem tylko, że mamy do czynienia z charakteropatą, osobnikiem mściwym, nerwowym i wybuchowym. Psychiatrzy orzekli, iż mógł kierować swoim postępowaniem z tym, że miał obniżoną zdolność kontrolowania swoich reakcji afektywnych. Wykazał jednak wiele sprytu i premedytacji, manipulując zręcznie podporządkowanymi sobie niewiastami w ten sposób, ażeby rękoma jednej pozbyć się drugiej. Na szczęście w momencie krytycznym w Krystynie W. strach przed dokonaniem zbrodni okazał się silniejszy, niż strach przed Zakrzewskim. Przez jakiś czas zwodziła go, twierdząc, że nie może zdobyć trucizny, w końcu, przyciśnięta do muru uczyniła to, co jest obowiązkiem każdego uczciwego człowieka.

Wacław Zakrzewski miał nadzieję, że po śmierci L. dziecko zabiorą do domu dziecka i w ten prosty sposób skończą się wszystkie jego alimentacyjne kłopoty. Przyznać trzeba, że różnie migają się mężczyźni przed płaceniem alimentów, ale z czymś podobnym spotykamy się chyba po raz pierwszy. Koszmarne.

KAROL BADZIAK

FILM

W zamkniętym kręgu

W filmie miejsce to nazywają **„Parkiem Strzykawek"**, skrzyżowanie Broadwayu i 72 Ulicy w Nowym Jorku jest straszliwą oazą wyznawców heroiny. Oryginalny tytuł filmu **Jerry'ego Schatzberga** brzmi **„Panika w Parku Igiel"** (słowo „panika" oznacza w żargonie amerykańskich narkomanów dotkliwy brak narkotyku w dzielnicy), u nas film ten nazwano jednym, mówiącym nam więcej słowem — **„NARKOMANI"**. Jest to właściwie pierwszy na naszych ekranach film, w którym narkomania jest tematem centralnym, w Ameryce i innych krajach Zachodu zagadnienie to znalazło w kinie wiele realizacji, nie trudno się domyśleć, że niektóre również na granicach komercji. Film Schatzberga oceniany u nas bez porównań, także przez krytykę zachodnią uznany został za film o niezwykłej sile oddziaływania i wyjątkowej uczciwości.

Niezwykły klimat tego filmu i jego sugestywność wynika niewątpliwie ze stosunku autorów do podjętego tematu. Schatzberg, porównując swe zamierzenia z innymi filmami poświęconymi narkomanii, powiedział: **„Tym, co mnie obecnie uderza najbardziej, jest różnica klimatu społecznego wokół tego problemu. Bohaterowie tamtych filmów byli przypadkami odosobnionymi, podczas gdy dziś nasze codzienne życie jest zdominowane przez zjawisko narkomanii".**

Można na chore jednostki patrzeć z **„wyższej płaszczyzny społecznej i intelektualnej"**. Schatzberg wchodzi w tę straszliwą pułapkę, piekielny krąg, z którego wyjścia nie ma, w sposób niezwykle przejmujący. Opowiada przecież historię miłosną, jego film jest filmem o miłości. Ten ludzki, prosty, zwykły punkt wyjścia nadaje przedstawionym obrazom straszliwego nałogu wymiar szczególnie tragiczny. Byli po prostu młodzi, dobrzy, wrażliwi: pokochali się, chcieli być ze sobą zawsze. Znaleźli się w Parku Igiel i już stamtąd nie wyjdą — tam krąg się zamyka. Miłość zacznie sąsiadować z prostytucją, bo trzeba zarobić na narkotyki, czułość z nienawiścią, bo trzeba walczyć o narkotyki, szlachetność z denuncjacją, bo trzeba zostać na wolności, by móc zażywać narkotyki. Miłość Heleny i Bobby'ego poza miłością znaczyć będzie potrzebę pozostawania ze sobą dla narkotyku — jak długo jeszcze? Jeden, drugi miesiąc, aż do śmierci, która jest blisko, heroina jest jej szczególnie drapieżnym aniołem. Tragiczny, przejmujący obraz degradacji moralnej i wyniszczenia biologicznego, zawarty w „Narkomanach", przemawia może dlatego tak silnie, iż nie wyczuwa się w filmie chęci epatowania publiczności mocnymi wrażeniami, że towarzyszy mu wielka litość, współczucie dla tych, którzy staczają się na dno życia. Ten pełny głębokiej serdeczności ton, manifestacja miłości do życia prostego i dlatego pięknego, którego przy tych młodych być już nie może, czyni z tego tak właśnie wiarygodne świadectwo narkomanii i wielkie, przejmujące ostrzeżenie.

Jerry Schatzberg opowiada tę tragiczną historię miłości i nałogu w sposób zupełnie prosty, odrzuca wszelkie próby wstępowania w głąb jaźni, rezygnuje z pociągających wielu realizatorów prób wizji psychodelicznych. Opowiadając dzieje swych bohaterów, obserwuje ich jakby z boku, rejestruje obiektywnie ich drogę schodzenia do piekieł. Wypatruje przede wszystkim sytuacje, zachowania, gesty, spojrzenia i wyglądy, które będą świadectwem tej drogi.

W wykonawcach głównych ról znalazł idealnych partnerów swych zamierzeń. Kitty Win, która za rolę Heleny otrzymała nagrodę na MFF w Cannes w 1971 roku i Al Pacino, utalentowany aktor teatrów nowojorskich, debiutujący rolą Bobby'ego w filmie, prezentują niezwykle nowoczesne filmowe aktorstwo, w którym spontaniczność idzie w parze z niezwykłą precyzją. Dzięki nim ta opowieść o miłości zdeterminowanej narkotykiem nabiera tych szczególnych elementów czystego tragizmu, rozpatrywanego nie tylko w skali społecznych znaczeń, ale również jednostkowych dramatów.

Operator, **Adam Holender** (absolwent łódzkiej Szkoły Filmowej, również autor zdjęć w głośnym filmie Schlesingera „Kowboi o północy") swą sztuką dopełnia intencje reżysera. Nic w jego obrazach z histerii, o którą tak łatwo przecież było, dominuje w nich czystość i obiektywizm, a ich niewątpliwy dynamizm i nerwowość tworzy nie kamera, lecz przed nią kreowany ruch, jej zadaniem było uchwycić to, co istotne w wyglądach świata, który trzeba zapisać, by ostrzec przed nim.

Z uwag tych sądzić by można, że film Schatzberga ocierać się może o sentymentalizm. Przestrzec zatem należy, że trzeba mieć wiele siły, by znieść brutalność tego filmu, brutalność i grozę, która w „Narkomanach" nie jest jednakowoż efektem tak łatwych w kinie zabiegów formalnych, jest ona wynikiem i świadectwem tego, co przed kamerą swą realizatorzy tego filmu, w rzeczywistości, w której żyją, znaleźli.

EWA NURCZYŃSKA

TV

MANOWCE WSPÓŁCZESNEGO TEMATU

O sztukach współczesnych chciałoby się pisać jak najlepiej. Oddać sprawiedliwość autorowi, zachęcić widza, przysłużyć się choćby w minimalnym stopniu, by stały się zjawiskiem codziennym w naszym życiu artystycznym, a nie odświętnym gościem. Niestety, nawet te rzadkie okazje, kiedy mamy już do czynienia właśnie z takimi utworami ich poziom nie pozwala na aprobatę.

Wojciech Bieńko przedstawił nam sztukę telewizyjną „Księżyc w nowiu". Autor, matematyk, i pisarz, zajrzał wgłąb (?) środowiska lekarskiego. Nie był to zabieg prekursorski, ale i nie w tym rzecz. Niestety, w niniejszym wypadku jest to pozorne podejmowanie współczesnego tematu. Akcja z powodzeniem mogłaby się rozgrywać sto lat temu, u nas, jak i w każdym innym kraju. W powyższym stwierdzeniu nie ma negatywnego osądu, raczej zawód, gdyż spodziewaliśmy się zobaczyć utwór, który pozwoli nam na bliższe odniesienia do naszej rzeczywistości. A otrzymaliśmy rzecz uciekającą w dość nienaturalny i wymyślny psychologizm. A to od lat proponują nam znacznie sprawniejsze pióra.

(Na marginesie: Ostatnio kilka razy wspomniałem o Ewie Żukowskiej — z uznaniem i sympatią. Ale seryjne obsadzanie jej we wszystkich granych ostatnio sztukach trudno spokojnie przemilczeć. Aktorce robi się niedźwiedzią przysługę nadmiernym eksponowaniem, a widzów denerwuje: bo „co za dużo to nie zdrowo").

„Pułapka z mahoniu" sprawia zawód innego rzędu. Pierwowzorem literackim było w tym wypadku opowiadanie Wiesława Andrzejewskiego z tomu „Połykacze ognia". Rzecz jest o ludziach morza. W. Andrzejewski sam jest marynarzem współpracującym ze szczecińskimi pismami i rozgłośnią Polskiego Radia, autorem reportaży.

Taka biografia, zdawałoby się, musi gwarantować rzetelną znajomość opisywanych zdarzeń i autentyczność podnoszonych problemów. Niestety. Autor niewiele wykorzystał własne doświadczenia i swą wiedzę o ludziach morza, mimo iż jest jednym z nich. Chciał być za wszelką cenę „literatem" i epatuje nas sztuczną egzotyką i dramatyzmem, w który się ani przez moment nie wierzy. „Pułapkę z mahoniu" oglądałem więc, jak jeszcze jedną bajkę o dzielnych chłopcach-marynarzach, i złym kapitanie, który dla pieniędzy szafuje ich życiem. A wiadomo, marynarze fantazje mają i trzeba ich zwierzenia traktować z przymrużeniem oka. Wszystko i tak się dobrze skończy, a te dreszczyki emocji to dla odprawienia obowiązkowego rytuału.

W „Pułapce" w dodatku ani reżyser i autor scenariusza Czesław Staszewski, ani aktorzy (najlepszym był jeszcze w roli Bosmana Ryszard Zieliński) autorowi nie pomogli. Niewiele mogli zrobić, to prawda, ale w niepowodzeniu widowiska mają swój spory udział.

NA SZCZĘŚCIE JEST JESZCZE FILM

„Bunny Lake zginęła" to dramat sensacyjny nie tylko z nazwy. Dawno nie mieliśmy możliwości obejrzenia rzeczy tak świetnej w swym gatunku. Film Otto Premingera, znanego hollywoodzkiego reżysera, mógł zadowolić wszystkich. Zwolenników dosłownie mocnych wrażeń, jak i tych, którzy w sensacji poszukują czegoś więcej: emocji rozwiązywania zagadki logicznej czy obserwacji psychologicznej zdeformowanych osobowości, co jest dość częstym przypadkiem ludzi ze świata przestępczego. Historia zaginięcia małej Bunny opowiedziana jest w atmosferze rosnącego napięcia, o wszystkim dowiadujemy się w odpowiednim, tzn. ostatecznym momencie. Taki jest również finał, długa przeraźliwie sekwencja, która jest logicznym efektem całego zdarzenia. W sumie świetna robota, reżyserska i aktorska, no i pomysł fabularny godny pozazdroszczenia (wzór dla naszych partaczy od sensacji). I weźcie jeszcze Państwo pod uwagę, że w roli komisarza wystąpił Laurence Olivier.

W Kinie Interesujących Filmów obejrzeliśmy film Stanley'a Kramera „Kto sieje wiatr...". Ten dramat psychologiczno-obyczajowy powstał na motywach autentycznego procesu jaki w 1925 r. wytoczono w USA małomiasteczkowemu nauczycielowi za propagowanie w szkole teorii Darwina. Ten „małpi proces", jak go nazwano, staje się forum walki z obskurantyzmem i ciemnotą, walki o prawo głoszenia swoich poglądów i propagowanie nowych idei. Walki zakończonej przegraną tylko z pozoru, bo wiadomo, że przyszłość ten wyrok skoryguje.

Akcja filmu prawie nie przenosi się poza salę sądową. Cały czas odbywa się szermierka słowna. Ale jaka! Trudno sobie wyobrazić powodzenie tego filmu bez takich właśnie aktorów jak Spencer Tracy, Frederic March i Gene Kelly. To oni są prawdziwymi twórcami tego filmu. Znakomity koncert gry aktorskiej. Rzadko spotykana symbioza między społecznie ważnym zamierzeniem a wysokim artyzmem wykonania.

JAROSŁAW TARNO

P.S.

Jak zostaliśmy poinformowani w Łódzkim Magazynie Kulturalnym nr 5, teatry łódzkie zapisały na swoje konto, nowy sukces, po „Trędowatej" — „Dzieje grzechu" (podobno wg Żeromskiego). Tylko tak dalej!

Nowa fotografia w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej

- Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku
- Związek Polskich Artystów Fotografików

Nie jest prawdą — wbrew pozorom — że fotografia Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej jest w Polsce dość dobrze znana. Oczywiście pisało się u nas o niej to i owo. Przede wszystkim ukazało się kilka artykułów monograficznych o fotografach amerykańskich, poza tym trochę wzmianek i odniesień przy okazji poruszania innych tematów z historii teorii fotografii. Bo nie sposób mówić dziś o sztuce fotograficznej bez ciągłego powoływania się na dorobek amerykański. Jednak to, co wiemy o nim, przekazane nam zostało przede wszystkim za pośrednictwem tekstów, zwykle dość skąpo ilustrowanych. Poza tym wiele z tych ilustracji powtarza się, dostęp do oryginałów jest dość trudny, a redakcje korzystają z niewielkiej ilości osiągalnych źródeł drukowanych. Tak więc znajomość samych dzieł jest ograniczona ilościowo, ograniczona jest także liczba znanych artystów — są to nazwiska najwybitniejsze, ale zestaw ich jest niepełny. Brady, Hine, Stieglitz, Steichen, Coburn, Weston, Evans, Adams, Siskind, Lange, Callahan, może jeszcze kilku, o których znajdziemy w polskich wydawnictwach wzmianki, albo krótkie artykuły i którzy znani są polskiemu miłośnikowi fotografii z niewielkiej ilości reprodukcji.

Szczególną popularnością cieszy się u nas Edward Steichen, poznany najpierw jako organizator wystawy „Rodzina człowiecza", później bogato zaprezentowany poprzez swą wystawę indywidualną w Warszawie. Bezpośredni kontakt z oryginalnymi pracami umożliwił nam Aaron Siskind i Harry Callahan, którzy przysłali swoje prace, wystawiana — Siskinda w Federacji Amatorskich Stowarzyszeń Fotograficznych w Polsce, Callahana, staraniem miesięcznika „Fotografia" w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych — bez takiego rozgłosu jak wystawa Steichena i dlatego może niedostrzeżone przez wielu zainteresowanych. Jeśli dodać, do tego, że prezentacje te rozsiane były w ciągu kilkunastu lat, przyznać trzeba, że jest to niewiele. Dlatego dobrze się stało, że na skutek starań Związku Polskich Artystów Fotografików mamy okazję zobaczyć w Salonie Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza zestaw prac kilkunastu fotografów amerykańskich młodszego pokolenia.

Reprezentują oni sztukę stanowiącą konsekwentne, kolejne ogniwo w łańcuchu przemian fotografii tego kraju.

Fotografia amerykańska uformowana została pracą dokumentalistów z okresu wojny secesyjnej, zdjęciami publicystów — społeczników z początków XX wieku, podniesiona później, w tym samym duchu autentyzmu do rangi odrębnego przedmiotu artystycznego przez Edwarda Westona, zwrócona w kierunku nowoczesnej cywilizacji miejskiej przez Walkera Evansa i przez wielkich fotografów takich, jak Dorotea Lange i w końcu przez utożsamienie aktu obserwacji z aktem kreacji przez Aarona Siskinda i Harry Callahana — wprowadzona w świat sztuki rozumiany na sposób klasyczny, w której każda dziedzina ma do dyspozycji własne reguły gry.

Fotografia młodego pokolenia pozostaje wierna tym regułom. Między innymi tej zasadzie, która nakreśla jej nieprzekraczalne granice, nie dający się zmienić sposób penetrowania świata. A tymczasem w sztuce amerykańskiej fotografia stosowana jest także jako dokumentacja i jako samodzielny środek przekazu na zupełnie inny sposób. Mam na myśli działania pop-artu i obecnie te wszystkie zjawiska, które związane są z ruchem konceptualnym. Sztuka ta łamie tradycyjne podziały, a więc nie istnieje tam fotografia jako wyodrębniony rodzaj. Może dlatego właśnie Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku, które prezentuje nam tę wystawę, ograniczyło ją do tradycyjnie rozumianej fotografii.

I znów będzie nam brak bezpośredniego kontaktu z najaktualniejszymi wydarzeniami w amerykańskiej fotografii. A właśnie amerykańscy artyści należą do najaktywniejszych w tworzeniu nowej sztuki.

ZBIGNIEW DŁUBAK

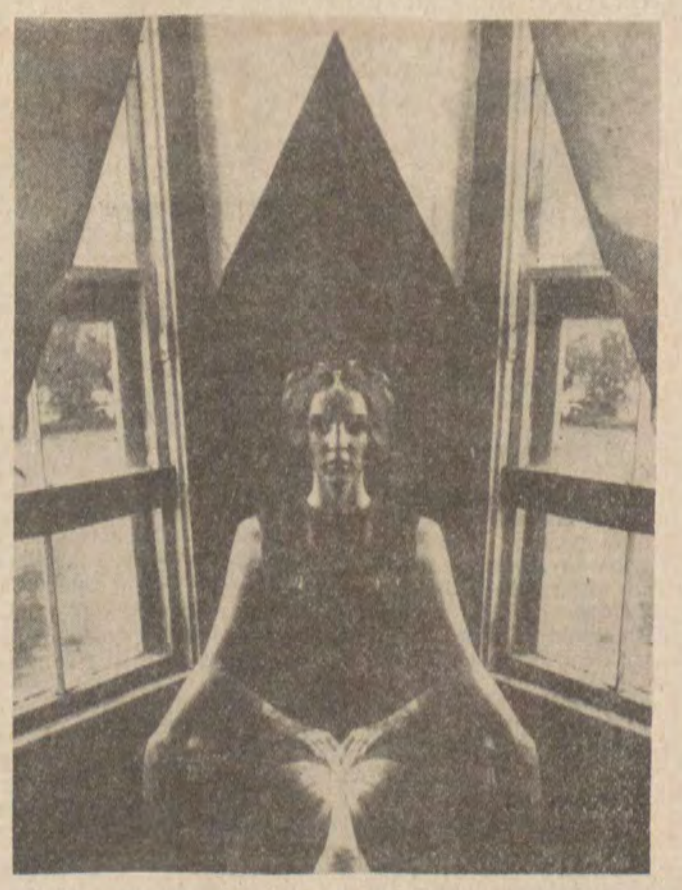

JERRY N. UELSMANN — „Czucie światła" — 1966 r.

TAJEMNICA BURSZTYNOWEJ KOMNATY

ZAGUBIONY ŚLAD

(Dokończenie)

W 1941 roku nie udało się ewakuować z Puszkino (dawniej Carskie Sioło) pod Leningradem, słynnego dzieła sztuki — Bursztynowej Komnaty. Gdy w 1944 roku wojska radzieckie, gromiąc hitlerowców, zajęły Puszkino, Bursztynowej Komnaty już tam nie było. Została zrabowana przez hitlerowców i wywieziona w niewiadomym kierunku. W 1949 roku rząd radziecki powołał specjalną komisję z zadaniem odnalezienia tego znakomitego dzieła sztuki. W trakcie tych poszukiwań komisja natrafiła na ślad Bursztynowej Komnaty, który, niestety, okazał się mylny.

Komisja odnalazła jego listy, adresowane do wielkich magnatów pruskich, właścicieli pałaców i rodowych zamków, usytuowanych w rejonach na zachód od Królewca. Z listów wynika, że Rhode obejrzał niektóre z zamków, szukając w nich kryjówek dla zagrabionych skarbów. W końcu, wykonując chyba odgórne polecenie, zapakował bursztynowe elementy Komnaty do dwóch ogromnych pojemników, mocno okutych żelazem i odpornych na trudne warunki transportu.

W nocie służbowej, datowanej z dnia 12 stycznia 1945 roku, Rhode pisze: „Z polecenia kuratora prowincji, Bursztynową Komnatę pakuję do skrzyń. Natychmiast po wykonaniu tej czynności rozpocznę ewakuację okładzin do Wekselburga w Saksonii...". Byli pracownicy muzeum zeznali, że wynieśli skrzynie z północnego skrzydła zamku i włożyli je do okutych pojemników, ustawionych na zamkowym podwórzu. Wkrótce potem zostały prawdopodobnie wyekspediowane w podróż.

* * *

Komisja próbowała odnaleźć Rhodego, jednakże bezskutecznie. Przewodniczący komisji radzieckiej udał się do Niemiec Zachodnich, by odbyć rozmowę z byłym dyrektorem Muzeum Historii w Królewcu — Wilhelmem Harte. Istotnie, udzielił on wielu cennych informacji, które mogłyby naprowadzić na ślad zaginionego dzieła sztuki. Wynikało z nich, iż 4 marca 1945 roku, to jest w wiele dni po odcięciu Królewca od zachodu i południa, gauleiter Kox pojawił się w mieście i zażądał złożenia wyjaśnień, dlaczego nie wywieziono z Królewca Bursztynowej Komnaty. Harte powiedział, iż dowiedział się o tym od Paula Feuerabenda, właściciela restauracji, znajdującej się w podziemiach zamku królewskiego w Królewcu. Odnaleziono Feuerabenda. Opowiedział on, iż wkrótce po odjeździe Koxa, generał Lasch, dowódca królewieckiego obwodu wojskowego, ulokował swój sztab w podziemiach zamku.

Lasch i Kox dostali się do niewoli w ostatnich dniach wojny. Kox zaprzeczył w zeznaniach, złożonych w tym czasie, iżby cokolwiek wiedział o zagrabionych dziełach sztuki. Również zeznanie Lascha nie wniosło do sprawy nowych elementów. Komisja odnalazła kilku żołnierzy niemieckich, którzy w owym czasie wchodzili w skład oblężonego garnizonu w Królewcu. Opowiedzieli oni, że dnia 5 kwietnia 1945 roku, a zatem w dniu, w którym Armia Radziecka podeszła już pod samo miasto, siedzieli na dużych, okutych pojemnikach, znajdujących się w piwnicach zamku. Jeden z nich powiedział, że „Friesen, kurator-opiekun zagrabionych dzieł sztuki, przebywał w zamku bardzo krótko. Uprzedził on żołnierzy, żeby uważali na pojemniki, ponieważ są w nich bardzo cenne przedmioty..."

Jednakże oficerowie radzieccy, którzy 11 kwietnia 1945 roku dokładnie zbadali piwnice królewieckiego zamku, znaleźli tam tylko sprzęt wojskowy.

Klucz do tajemnicy znajduje się więc albo w ręku Alfreda Rhode, albo w ręku jego ówczesnego przełożonego, kuratora Friesena. Od momentu, gdy w podziemiach zamku w Królewcu uprzedzał on żołnierzy o cennej zawartości pojemników, to jest od 5 kwietnia 1945 roku, nikt go ani nie widział, ani o nim nie słyszał. Po prostu, jak gdyby zapadł się pod ziemię. Po 5 kwietnia zniknął także Rhode, ale tylko na pewien czas. Powrócił niemal nazajutrz po zdobyciu Królewca przez wojska radzieckie. Fakt bardzo interesujący. Pomagał władzom radzieckim w odszukiwaniu obrazów wywiezionych z muzeów Charkowa i Kijowa. W owym czasie radzieccy eksperci mało wiedzieli o losach zagrabionej Bursztynowej Komnaty, a Rhode nie udzielił na ten temat żadnej informacji.

W przeciągu kilku kolejnych miesięcy Rhode zwracał ukradzione dzieła sztuki rosyjskiej z taką samą pedantyczną skrupulatnością, z jaką je gromadził i ukrywał. W tym czasie — jak opowiadał jeden z jego pomocników — „za każdym razem, kiedy szedł do zamku, przejawiał dziwną nerwowość i niepokój. Oglądał się za siebie, dosłownie bał się, czy ktoś go nie śledzi. Mówił cicho, jakby w stałej obawie, że ktoś może go podsłuchać..."

14 grudnia 1945 roku Rhode do późna pracował w zamku. Pracownik muzeum, który tego dnia był razem z nim, złożył następujące oświadczenie: „Odniosłem wrażenie, że chciał on coś powiedzieć. Przypominam sobie, że wspomniał o bunkrze, znajdującym się w pobliżu Steindamstrasse, o którym już mi kiedyś napomknął, nie mówiąc jednak, co się tam znajduje"...

Następnego dnia, 15 grudnia, Rhode nie przyszedł do pracy. 16 grudnia 45 roku ukazała się notatka o nagłej śmierci Rhode i jego żony. Sąsiedzi wiedzieli, jak z mieszkania małżonków Rhode wyniesiono dwie trumny. W świadectwie zgonu, podpisanym przez Niemca, dr Paula Erdmanna, stwierdza się, iż „pan i pani Rhode zmarli w wyniku ostrej wirusowej dezynterii". Po tym tajemniczym wydarzeniu dr Erdmanna nie widziano już, i nie odnaleziono...

Po pewnym czasie komisja radziecka otrzymała list od niejakiego Rudolfa Riengela, którego ojciec przebywał w Królewcu do ostatnich dni wojny. Otóż ojciec Riengela przechwalał się nieraz, iż w przeddzień upadku Królewca brał osobisty udział w ukrywaniu „zdobytych" dzieł sztuki. Po śmierci ojca, w początkach 1947 roku, Rudolf Riengel znalazł notatnik ojca. Znajdowały się w nim kopie blisko stu rozkazów i raportów z ich wykonania. W dwóch spośród nich wspomina się o Bursztynowej Komnacie.

Jeden z rozkazów mówi o konieczności „wykonania akcji Bursztynowej Komnaty", a następnie o „zamaskowaniu wejścia i, jeśli budynek nie został jeszcze zburzony, o wysadzeniu go w powietrze"... Zachował się raport Riengela, w którym melduje, że „rozkaz został wykonany".

W dwóch innych dokumentach z notatnika Riengela jest mowa o nadaniu 30 skrzyń z bursztynowymi okładzinami i skrzyń z kolekcją bursztynów oraz, że transport ten został przyjęty.

Pewne zamieszanie wprowadza fakt, że w jednych dokumentach mówi się „o Bursztynowej Komnacie", a w innych „o kolekcji bursztynów". Jeśli, co jest prawdopodobne, rzeczywiście coś ukryto w bunkrze na ulicy Steindam, niekoniecznie miała to być Bursztynowa Komnata.

Poszukiwania trwają i, być może, któregoś dnia rzucą one światło zarówno na tajemniczą „śmierć" Rhode, jak i zagadkowe zniknięcie Friesena. A to z kolei — czytamy na łamach londyńskiego „Observera" — może naprowadzić na ślad kryjówki tego bajecznie cennego dzieła sztuki.

Chronologia barbarzyństwa

W nocy z soboty na niedzielę weszło w życie porozumienie o wstrzymaniu działań wojennych w Wietnamie. Cały świat wita z ulgą i zadowoleniem zakończenie jednej z najkrwawszych wojen w historii ludzkości. Jest to wielkie zwycięstwo narodu wietnamskiego po dwunastu latach zbrojnej interwencji USA.

Wietnamska Agencja Informacyjna w Hanoi opublikowała dane, dotyczące ataków lotnictwa amerykańskiego na DRW w okresie od 18 do 29 grudnia 1972 roku.

Każdego dnia, w nalotach na DRW, brało udział 140 latających superfortec „B-52" spośród 200 stacjonujących w bazach w Utapao i Andersen, 30 samolotów „F-111" ze zmienną geometrią skrzydeł oraz od 500 do 700 bombowców, startujących z baz lotniczych w Syjamie, w Południowym Wietnamie i z sześciu lotniskowców, znajdujących się w Zatoce Bakbo. W wyniku tych nalotów zrzucono ogółem 100 tysięcy ton bomb na Hanoi, Hajfong, Thainguien i piętnaście innych miast Demokratycznej Republiki Wietnamu. Szczególnie silnie bombardowano stolicę DRW oraz portowe miasto Hajfong.

Bombowce „B-52" dokonały gwałtownych ataków na prowincje, leżące na północ od 20 równoleżnika. Naloty przeprowadzano nocą, a ściślej mówiąc — od północy do świtu. Brało w nich udział od 15 do 70 latających superfortec, atakując grupami. Samoloty prowadziły naloty „dywanowe", zrzucając bomby przeróżnych rodzajów.

Typowym przykładem taktyki tych pirackich nalotów było bombardowanie Hanoi: nocą 18 grudnia — 75 nalotów, 19 — 51 nalotów, 20—60, 21 — 50, 23 — 46, 26 — 60, 27 — 72, 28 — 51 i 29 grudnia — 27 nocnych nalotów.

W ciągu dwunastu dni lotnictwo USA zbombardowało w **Hanoi** 350 cywilnych obiektów, w Hajfongu — 250.

Na wiele obiektów dokonano od 2 do 7 nalotów, a nieraz nawet po 30, jak na przykład na centrum prowincjonalne Bakciang.

Samoloty amerykańskie zbombardowały i ostrzelały z broni pokładowej szereg miast, 17 prowincji i rejon Winliń, ponad 300 komun, 14 osiedli, 11 centralnych miejscowości prowincjonalnych. Zginęło wiele osób spośród ludności cywilnej, straty materialne są ogromne.

Amerykańscy lotnicy zbombardowali setki szkół, żłobków, przedszkoli, wiele szpitali i ośrodków zdrowia, w tej liczbie **największy szpital w Północnym Wietnamie — Bacmai.** Zginęło w nim 26 osób, dziesiątki świątyń buddyjskich, kościołów, 8 państwowych spółdzielni rolniczych, wiele ośrodków hodowli bydła, szereg fabryk i przedsiębiorstw przemysłowych, magazynów żywnościowych, sklepów, teatrów, kin, stadionów sportowych, zajezdni autobusowych, dworców kolejowych, międzynarodowy port lotniczy Zialam, osiedli mieszkaniowych, wiele tam, zapór wodnych i urządzeń hydroenergetycznych, budynków ambasad, statków handlowych państw obcych oraz siedziby niektórych zagranicznych agencji informacyjnych.

W **Hanoi** została zbombardowana dzielnica mieszkaniowa Amciong w rejonie Badin, w samym centrum miasta, zamieszkała przez sześć tysięcy osób. Nalotu dokonały bombowce „B-52" dnia 21 grudnia ub. roku. Ponad 200 domów mieszkalnych, jedna szkoła średnia i kilka szkół podstawowych tej dzielnicy zostało zmiecionych z powierzchni ziemi. Zginęło 135 osób, 126 raniono, 5 zaginęło bez wieści.

Khamthien — najbardziej zaludniony rejon stolicy, zamieszkały przez 30 tysięcy ludzi, został zbombardowany przez samoloty „B-52" dnia 26 grudnia 1972 roku. Amerykanie dokonali na tę dzielnicę mieszkaniową 30 nalotów, zrzucając tysiące ton bomb. 534 domy zostały zburzone i ponad 1200 uszkodzonych. Legły w gruzach 4 pagody, 9 szkół podstawowych, 50 czytelni, straciło życie 215 osób, a 257 odniosło rany.

W Hajfongu, dnia 18 grudnia 72 roku, w godzinach od 19 do 21,30 bombowce amerykańskie zrzuciły na dzielnicę Honbang i rejony Anhai i Anthyi tysiące bomb zapalających, burzących i rozpryskowych. Setki domów mieszkalnych zostało doszczętnie zniszczonych, zginęło 45 osób, wiele odniosło ciężkie obrażenia.

W wyniku bombowych nalotów amerykańskiego lotnictwa, tylko w okresie od 18 do 29 grudnia ub. roku tysiące osób cywilnych postradało życie, tysiące zostało okaleczonych, spłonęło ponad dziesięć tysięcy domów mieszkalnych... Tę tragiczną kronikę znaczoną krwią bohaterskiego narodu wietnamskiego można by pisać w nieskończoność...

Oprac. J. CZECH

SÁNDOR PETÖFI

Uchodzi za jednego z najwybitniejszych poetów literatury węgierskiej. Urodził się 1 stycznia 1823 roku, sto pięćdziesiąt lat temu, ale nowsze badania wykazały, że nie jest to bynajmniej data pewna.

Sandor Petöfi był synem rzeźnika, pochodzenia słowackiego, żyjącego w małej mieścinie węgierskiej Kisörös. Gdy Sandor ma lat piętnaście pisze wiersze o tematyce patriotycznej. Po raz pierwszy publikuje swoje wiersze, gdy ma lat 19. Ojciec, który jest człowiekiem zamożnym daje mu staranne wychowanie. Węgry nawiedza jednak powódź, która rujnuje rodzinę Petöfich. Ojciec nie może już pomagać młodemu Sandorowi, zwłaszcza, że nie pochwala jego poetyckich i teatralnych zamiłowań. Młody Petöfi statystuje w teatrze wędrownym. Cierpi nieraz głód i zimno przez blisko sześć lat wędrując po Kraju Zadunajskim. Postanawia robić karierę wojskową i zaciąga się do armii. Przez osiemnaście miesięcy poznaje cała brutalność i nieludzkość jakie panują w wojsku austro-węgierskim, wreszcie zostaje zwolniony z powodu złego stanu zdrowia. Potem znów wędruje po kraju w trupie teatralnej. Równocześnie pisuje wiersze. Zimę lat 1843/44 przeżywa w nie opalanej stodole, gdzie pracuje nad swym pierwszym w życiu tomikiem poezji.

„Ten mały zbiorek, to była cała moja nadzieja. Powiedziałem sobie: jeśli go sprzedam, to dobrze. Jeżeli nie sprzedam, to także dobrze ponieważ umrę z głodu czy zimna. Tak czy tak więc skończą się moje cierpienia" — powie później.

Nie umarł jednak z głodu. Piechotą, pokonując setki kilometrów, dotarł do Pesztu, gdzie Mihaly Vörösmarty, naówczas jeden z największych poetów lirycznych na Węgrzech, zadeklarował młodemu Petöfiemu pomoc i przyrzekł opublikować jego wiersze. W pół roku po tym nazwisko młodego, wędrującego aktora stało się znane i popularne w całych Węgrzech.

Młody Petöfi podczas swych długich wędrówek, jakie odbył w teatralnej trupie miał możność dokładnego zapoznania się z życiem niemal całego swego kraju. Jego pieśni, bo taką formę obrał początkowo dla swych poezji, mają charakter ludowy, a jego wiersze to słowa płynące wprost z serca, szczere, proste i zrozumiałe dla każdego.

Latem 1844 roku Petöfi pracuje w redakcji „Peszteńskiej Gazety Mody". Tworzy dużo. Pieśni, monologi liryczne, monologi humorystyczne, opisy, historie anegdotyczne wszystko to ciśnie mu się pod pióro. W swej twórczości coraz bardziej buntuje się przeciw ówczesnej rzeczywistości, a jego bunt przerodzi się wkrótce w płomienny, patriotyczny rewolucjonizm. Zbliża się właśnie już Wiosna Ludów, która głębokimi wstrząsami da znać o sobie w stolicach Europy. Znajomość realiów życia kraju pozwala mu na trafną ocenę i nasycenie swej poezji rzeczywistymi, niezmyślonymi nastrojami.

Zrywając z panującymi dotąd w poezji schematami Petöfi nie waha się przed odmalowaniem wiejskich scen rodzajowych, odzwierciedla życie ludu, sięga do folkloru. Jest zaciekle atakowany. Krytyka najbardziej ostra jaka kiedykolwiek pojawiła się na łamach pism węgierskich, zarzuca mu pospolitość i prymitywizm. Przyczyniło się być może do tego to, że sam Petöfi określał siebie jako **„dziki kwiat na łonie natury"**.

W istocie mało który z poetów był tak wykształcony jak Petofi. Czytywał Horacego i Tacyta, Szekspira i Shelly'ego, Heinego i Goethego, Berangera i Victora Hugo, a nawet w oryginale Dantego. Tłumaczył ze znakomita znajomością na język węgierski dzieła poetów francuskich, angielskich i niemieckich. Podkreślamy, że do dziś węgierskie teatry grywają „Koriolana" Szekspira w tłumaczeniu i adaptacji właśnie Petöfiego.

Petöfi staje się wkrótce nie tylko poeta, który dokonał przełomu w poezji węgierskiej, ale staje się jedną z najbardziej wybitnych postaci literatury światowej. Ale poezja jest dla niego nie tylko literatura, lecz i działaniem i to działaniem politycznym i rewolucyjnym. W roku 1846 Sandor Petöfi uświadamia sobie już jasno, że jego powołanie to być poetą rewolucjonistą. Z jego też inicjatywy powstaje **Towarzystwo Dziesięciu**, organizacja radykalnej młodzieży literackiej, która od roku 1847 grupuje się wokół pisma **„Obrazy z życia"**, prowadzonego przez znanego węgierskiego powieściopisarza Jókaia.

W roku 1847 dwudziestoczteroletni Petöfi poślubia Julię Szendrey. Nie wie, że pozostał mu już tylko krótki czas życia. Jest to jednak czas niezwykle obfity w wydarzenia. Poezja Petöfiego nabiera, jak nigdy przedtem pełnej siły, a miłość i polityka znajdują w niej równe miejsce, rewolucjonizm zaś poety ma okazję ujawnienia się także w czynach.

Piętnastego marca 1848 r. wydarzenia wiedeńskie odbijają się żywym echem w Peszcie. Petöfi staje na czele mas do walki o wyzwolenie społeczne i narodowe. Tworzy wtedy **„Pieśń narodową"**, węgierską **„Marsyliankę"** oraz pieśń **„Rozszumiało się morze"** skierowana ostrzem przeciw reakcji. W czasie gdy trwają walki na Węgrzech powstają dalsze pieśni i utwory Petöfiego pełne porywającego patriotyzmu, przesycone ideologią jakobińską, nienawiścią i wzgardą dla królów.

Kiedy na Węgry przybywa **generał Bem,** Petöfi śpieszy pod bezpośrednie rozkazy polskiego generała. Zostaje jego adiutantem. Jest doskonałym żołnierzem lecz jego radykalizm, jego duma sprawiają, że popada w konflikty ze zbiurokratyzowanymi oficerami z ministerstwa wojny.

31 lipca 1849 roku Sandor Petöfi ginie w bitwie pod Segesvar w Siedmiogrodzie w czasie potyczki z oddziałami wojsk cara.

Tak spełniło się tragiczne życzenie poety by zginąć na polu chwały. Zmarł mając lat 26. Pozostawił po sobie wiele utworów wyrażających przede wszystkim rewolucyjne i wolnościowe dążenia ludu węgierskiego. Wiele utworów poświęcił pięknu ziemi ojczystej, opisom życia węgierskiego ludu. Pisywał też nastrojowe elegie, poematy epickie oraz stworzył urocze cykle poezji miłosnej.

Do najwybitniejszych utworów Petöfiego należą m. in. poematy epickie: **„Kowal wiejski"**, **„Apostol"**. Z liryków miłosnych wypada wymienić cykle: **„Cyprysowe liście z grobu Etelki"**, **„Perły miłości"**. Do najpiękniejszych wierszy patriotycznych zaliczane są: **„Pieśń narodowa"**, **„Do narodu"**, **„Pieśń bojowa"**. Z bojowych pieśni rewolucyjnych najpopularniejszymi stały się: **„W imieniu ludu"**, **„Rozszumiało się morze"**, **„Gotujcie królom szubienicę"**.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEDTERAŹNIEJSZOŚĆ

MIĘDZY PUBLICYSTYKĄ A HISTORIĄ

Z uwagą śledzę dyskusję, jaka rozpoczęła się na łamach „Życia Warszawy" od wypowiedzi A. Micewskiego i J. Żarnowskiego na temat wzajemnych pretensji, jakie żywią do siebie publicystyka historyczna i naukowa historiografia. Rzecz idzie o sprawy wielekroć ważniejsze, niż zagadnienia klasyfikacji gatunków historycznego piśmiennictwa. Jeżeli mowa o społecznym funkcjonowaniu historii, to przecież nie tyle naukowa historiografia czy nawet najambitniejsza publicystyka, ile inne środki przekazywania informacji mają najsilniejsze, w dodatku bezpośrednie oddziaływanie na sferę świadomości, więc warto by było również i o tym podyskutować. I dlatego słuszny w zasadzie postulat J. Żarnowskiego, aby zabiegać o podniesienie kultury historycznej osób parających się publicystyką, uważam za stanowczo zawężony: bo niby w imię czego tylko nich? W pełni natomiast zgadzam się z historykiem, że to co nas najbardziej niepokoi, mianowicie owa nieprzerwana „huśtawka" ocen w odniesieniu do częstokroć najważniejszych wydarzeń historycznych, jest dziełem w znacznie większym stopniu tych wszystkich środków wypowiadania historycznych sądów, które nie mieszczą się ani w naukowej historiografii, ani w publicystyce à la A. Micewski. Nie mam też wątpliwości, że i owa „huśtawka", i wszelkie zdania tyleż skrajne, co nieuzasadnione muszą budzić sprzeciw zdrowo myślącego człowieka i każdego, kto uważa, że winniśmy spoglądać na naszą teraźniejszość i przeszłość nie w sposób zmitologizowany, ale przez normalne, białe okulary. Nadmiar lakieru — czy to będzie lakier różowego optymizmu, czy czarnego przygnębienia — jest zawsze szkodliwy.

Przed laty protestowaliśmy przeciwko barwieniu naszej historii na zbyt czarno, dzisiaj budzi nasz niepokój nadmiar tonów radosnych, czego przykładem jest polemika, jaka wybuchła wokół książki o polskim Wrześniu 1939. Ale sprawa zdaje się mieć także i swój szerszy aspekt.

Nie można przecież sprowadzać zagadnienia jednostronności widzenia historycznego do... formułowania pretensji w stosunku do tego czy innego autora, za to, że coś odmalował zbyt różowo, co innego zaś zbyt czarno. Dyrektywa adekwatnego, całościowego, a jednocześnie krytycznego spojrzenia na przeszłość nie może znać granic chronologicznych. A. Micewski najsłuszniej przypomniał na łamach „Życia Warszawy", że zbliżające się trzydziestolecie Polski Ludowej nakłada na historyków i publicystów nowe, ważkie społecznie ale i niezmiernie trudne zadania. Święta to prawda, ale — podobnie jak w odniesieniu do dawniejszej przeszłości — nie można ich sprowadzać jedynie do apologetyki. Minęły czasy, kiedy obowiązywała u nas zła, a przy tym nieskuteczna zasada propagandowa, polegająca na malowaniu wszystkiego, co za nami, na czarno, a wszystkiego, co nasze, dzisiejsze, na różowo, na przeciwstawianiu ultrapesymistycznego obrazu dziejów dawniejszych ultraoptymistycznie widzianej historii powojennej. Jeżeli wiedza o przeszłości jest wiedzą integralną, jeżeli ma ona pomagać współczesnemu człowiekowi w kształtowaniu własnego światopoglądu, w odnajdywaniu własnego miejsca w zmieniającym się świecie, w budowaniu lepszej przyszłości, musi być wiedzą prawdziwą, wolną od wszelkiej mitologii, od wszystkich nieuzasadnionych a skrajnych sądów, od wykoślawień zarówno historycznego optymizmu, jak i demobilizującego pesymizmu. Ale odnosi się to do całokształtu naszej przeszłości, nie zaś, jak się niekiedy sądzi rzekomo w imię wyższych społecznych i politycznych racji, tylko do takich bądź innych jej fragmentów.

Mimo wszystko jednak nie wydaje mi się, aby były rzeczywiste powody do zbyt wielkich obaw. Wszystko to, co się w ostatnim czasie dokonało w zakresie badań nad dziejami najnowszymi, w tym również historią Polski Ludowej, bardziej skłania do wniosków optymistycznych na przyszłość, niż im przeciwnych. Pomimo wszystkich występujących raz po raz objawów dewiacji (prócz wspomnianej już książki o Wrześniu przypomnijmy inną, o Polsce Ludowej, celnie wykpioną na łamach prasy jako przykład niemal hagiograficznej apologetyki!) uczyniono wiele właśnie dla odmitologizowania naszego oglądu przeszłości, podobnie jak wiele dokonano dla bardziej rzeczowego osądu współczesności. Nowa atmosfera społeczno-polityczna stworzyła niezbędne warunki dla dalszej obiektywizacji sądów, otwarła możliwość rozwijania twórczego krytycyzmu, tak niezbędnego dla naszej codziennej pracy nad ulepszeniem tego wszystkiego, co jest naszym udziałem. I dlatego można się spodziewać, że przygotowywane już publikacje o dziejach Polski Ludowej, podobnie jak ta ich niewielka część, która się już ukazała, zaprzeczać będą aktualności niedobrych nawyków złej propagandy sprzed lat, tej propagandy, która zwykła przynosić skutki akurat odwrotne od zamierzonych, a to na zasadzie praw dialektyki, o których czasem dobrze byłoby sobie przypomnieć. W tym ogólnym dorobku, którego istotą zdaje się być demitologizacja historycznych ocen, ma swoje ważne miejsce także i publicystyka historyczna, która nie jeden raz zaznaczyła swoje... wyprzedzenie w stosunku do naukowej historiografii w podejmowaniu nowych rejonów badawczych. Że przy tym nie obywa się bez potknięć, bez uproszczeń — jest naszym zadaniem zwracać na to pilnie uwagę.

LEKTOR

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

Zdarzeni A • I • Zwierzeni A

SZALONY JOYCE

Przed laty dowiedziałem się o istnieniu genialnej książki Jamesa Joyce'a „Finnegans Wake" — z zachwyconej relacji tłumacza. Podał on, że dzieło to pisane było przy pomocy wszystkich żywych i martwych języków, że autor swobodnie i bez komentarza dysponuje strzępkami wszystkich sztuk i nauk, wierzeń religijnych i postaci mitologii klasycznej i nieklasycznej. Na koniec wreszcie tłumacz oświadczył, że — uwaga, uwaga — dzieło to nie tylko nie zostało przełożone na żaden język obcy, ale „nie stworzono nawet jakiejkolwiek logicznej i trwałej teorii dotyczącej treści...".

Dla rozszyfrowania treści „Finnegans Wake" powstają specjalne instytuty naukowe, w których zastępy uczonych biedzą się nad problemem, o czym w ogóle jest ta książka.

Nie bujam — tak jest!

Przed laty pozwoliłem sobie zażartować z owego genialnego dzieła, za co wymyślano mi potem od prostaków. Napisałem bowiem, że moim zdaniem ludzkości potrzebne są dzieła nieco mniej genialne, ale za to takie, które mniej więcej można zrozumieć. Być może moje wymagania wobec literatury są w istocie minimalistyczne, być może powinienem zweryfikować ów stosunek...

Nadarza się ku temu znakomita okazja!

Oto ukazały się właśnie nakładem Wydawnictwa Literackiego fragmenty książki Joyce'a „Finnegans Wake", w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego. Tom nosi tytuł „Utwory poetyckie", format ma albumowy, oprawę graficzną piękną, nakład bibliofilski, bo 9 tysięcy egzemplarzy — podczas gdy „Ulisses" miał 40 tysięcy nakładu...

Oto więc legendarna „książka wieku" — a może raczej „wieku XXI".

Zaczyna się to tak:

„I na runo łąk runął run biegnąc w krąg i zyskał run rym, który Hosty dał. Wyrzekł. Boylowie i Cahillowie, Skerrettowie i Pritchardowie, vierowierszy pełne piersi nasze niechaj drzewią opowieść o żywokamiennym...".

Dalej jest jeszcze lepiej:

„To już blisko, to już mglisto. Klasku, klask! (Wszyscy kla) Szkła trzask. I (klikkaklakkaklaskaklopatz...". Przepraszam zecera to „kliklanie" biegnie przez półtora wiersza szerokiej szpalty. Mało jest szans, aby je złożyć bez błędu, więc nie cytuję dalej.

Potem mamy coś jakby aluzje:

„Mieliśmy chle chle chleby chusty, chodaki chorobykur i chochle chińskie". Dobre, co? Nie bardzo? Jedźmy dalej do rymu:

„Do drzwi bim-bam.
Niech nie bimba nam" (...)
a potem:
„(Chór) Norweski wielbląd stary dorsz
Boże, najgorsz"
I kończy się też dobrze:
„Wypełnione jest jej dno. Droga jest wolna. Losu lot ustalony jest. Więc, do jana za jana janajeamsa, niech się stanie".

Stało się! Mamy więc, choć kawałek, „janajeamsa".

Amatorzy „śmichów-chichów" z genialnego dzieła zawiodą się. Żartów nie będzie.

Joyce po raz pierwszy zastosował tzw. strumień świadomości zamiast tradycyjnego opisu. Pojęcie czasu uczynił względnym, z języka zrobił koktajl, gwar, skrótów, neologizmów, symboli i zbitek. Potem tym wszystkim mocno zamieszał... No i zamieszał.

„Białe jak robak — życiter paski coraz węższe z tymi wąsami. Podnieś poduszkę. Pewno w tramwaju...".

To już nie cytat z „Finnegans Wake". W ten „strumieniowy" sposób zanotowałem sytuację (sekundę). W opisie będzie to mniej więcej tak:

„Obły, biały popiół z pierosa przypomina robaka, jednocześnie widzę fragment winiety „Życia Literackiego", które leży na stole. Na gazecie „Utwory poetyckie" Joyce'a, z coraz węższych pasków układa się postać pisarza, wąsów, oczywiście nie widać, ale z innej fotografii wiem, że miał wąsy, więc stąd to skojarzenie. Z tapczanu spadła poduszka, więc powinienem wstać i ją podnieść. Jest wieczór, żona już na pewno jest w drodze do domu...".

Joyce dokonał odkrycia na wielką miarę. Dostrzegł, że strumień naszej świadomości płynie w myśl reguł zupełnie innych niż strumień mowy i pisma. Jeśli nawet „Finnegans Wake" jest bełkotem — jest to bełkot odkrywcy. I jeszcze jedno — może jest w tym wszystkim jakieś szaleństwo, ale na pewno nie ma szalbierstwa.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

CO IM ODPOWIEDZIEĆ?

To nieprawda, że bodźcami materialnymi można wszystko załatwić. Człowiek jest, na szczęście, bardziej skomplikowany i bardziej subtelny niż pudel, którego można zmusić do tańczenia na dwóch łapach samą tylko obietnicą smacznego kąska po występie. Wybitny specjalista — chirurg, elektronik czy sanskrytolog — nie pójdzie na róg ulicy sprzedawać grzebieni, chociaż na grzebieniach lepiej się zarabia niż na sanskrycie. Czy dlatego nie pójdzie, że nie potrafi sprzedawać grzebieni? Nie, raczej dlatego, że potrafi odczytywać słowa z prastarych skorup i to jest dla niego ważne. Nikt nie chce marnować, trwonić, zaprzepaszczać własnych kwalifikacji, nawet jeśli mu przeszkadzają w zdobyciu kożuszka dla żony i zwykłego, beztroskiego odpoczynku w niedzielę. A więc nie chce ich trwonić, nawet kiedy są antybodźcem materialnym.

Tylko ludziom bez żadnych kwalifikacji jest absolutnie obojętne, co robią. Tylko oni szukają jak najlepszej płacy przy wysiłku sprowadzonym w okolice zera — i to jest ich decydujący motyw postępowania. Dlatego pracowników bez kwalifikacji najtrudniej utrzymać w pracy, związać ich z zakładem, z instytucją. Oni są związani wyłącznie płacą, więc trzeba im dobrze płacić. Są potrzebni, i to w wielkich ilościach. Żadna fabryka nie potrzebuje tylu inżynierów, ekonomistów, techników i majstrów — co robotników, obsługujących maszyny. Takiej obsługi nauczą się w dwa miesiące. Są niezbędni, trzeba ich przynęcić, a potem możliwie długo utrzymać, nie dać odejść. To wszystko można osiągnąć prawie wyłącznie poprzez działanie bodźców materialnych. Trzeba płacić.

Sprowadzając rzecz do krańcowości, można nie bez sardonicznego posmaku powiedzieć, że pracownikom wysoko kwalifikowanym płacić nie trzeba. Albo, jak już chcecie bardzo ściśle: nie trzeba się o nich zbytnio troszczyć, ani im zbytnio dogadzać. Nie odejdą. Po pierwsze dlatego, że są już przeważnie starsi, a gościa po czterdziestce nigdzie z otwartymi ramionami nie przyjmie miejscowa zżyta kamarylla. Po drugie dlatego, że kwalifikacje zawężają pole działania, są mniej przydatne gdzie indziej albo i wcale nie przydatne, szanse wyboru miejsca pracy maleją więc ze wzrostem kwalifikacji. To nie jest paradoks, to fakt, i personalnicy o nim wiedzą. Temu nie musimy dodawać, gdzie on pójdzie? Nigdzie. Musimy dodać tamtemu, bo ucieknie... Wreszcie po trzecie dlatego, że ktoś, kto się poczuł fachowcem, nie zmieni branży nawet jeśli ma takie możliwości i nawet jeśli są one atrakcyjne finansowo. Nie pójdzie sprzedawać grzebieni.

No i z tego wszystkiego wynika aż nazbyt częste premiowanie braku kwalifikacji: młodemu pracownikowi płaci się tyle samo, albo i więcej, niż facetowi z trzydziestoletnią rutyną. Tamten nie odejdzie, a ten by nie przyszedł. Trzeba przecież odmładzać kadry, trzeba tego młodego przyjąć. Trzeba go kupić, jemu jeszcze wszystko jedno kto kupi, sprzeda się lepiej płacącemu. Starsi koledzy po wielu, wielu latach mozolnego i upartego trudu dochodzili do wynagrodzenia, które jednym machnięciem ręki zdobywa ten młody. Sprawa jest dobrze znana, żaden wyjątek, to jest poszechne prawo.

Jeśli chodzi o absolwentów wyższych uczelni — z wyjątkiem służby zdrowia i szkolnictwa, gdzie istnieją szczególne specyfiki — odgrywa rolę jeszcze jeden czynnik: taki absolwent chce — i ma przecież pełne prawo po temu — wypróbować się w paru różnych miejscach, zanim na którymś z nich osiądzie na dłużej. Szuka więc nie tylko jak najlepszej płacy, ale w ogóle zajęcia najbardziej zbliżonego do własnych wyobrażeń w wybranym i wyuczonym zawodzie. Jest więc początkowo jeszcze bardziej ruchliwy niż zwykły pracownik niewykwalifikowany. Jeszcze silniej trzeba go przynęcać, silniejszymi działać bodźcami. Tym więcej trzeba mu — inaczej mówiąc — od razu zapłacić, zagłuszyć w nim inne motywy, związać z zakładem. Do premii za brak kwalifikacji (w tym wypadku rozumianych jako brak praktyki w danej wąskiej specjalności) dochodzi więc premia za młodość.

Jeśli w miasteczku, w którym pracują zakłady włókiennicze, powstaną nowe zakłady chemiczne, to można się założyć, że wszyscy młodzi robotnicy z tych pierwszych uciekną do tych drugich, bo chemia lepiej płaci, im jest wszystko jedno, a młodych wszędzie chętnie przyjmą. Nie uciekną inżynierowie i majstrowie, bo znają się na włóknie, a nie znają na chemii. Nie grożą tu niczym wyższe stawki chemiczne. Najszybciej zaś uciekną młodzi ekonomiści — ale tego już dowiodłem.

I stąd właśnie tak wielu sfrustrowanych, pełnych poczucia niedocenienia, krzywdy, goryczy fachowców po czterdziestce. Są na górnej linii „widełek" płacowych. Tak samo jak ich najmłodsi koledzy. Wszystko się pomieszało. „Nie było warto" — mówią i nie wiemy, co im odpowiedzieć.

No — co im odpowiedzieć?

ĆWIEK

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 165. T-4.